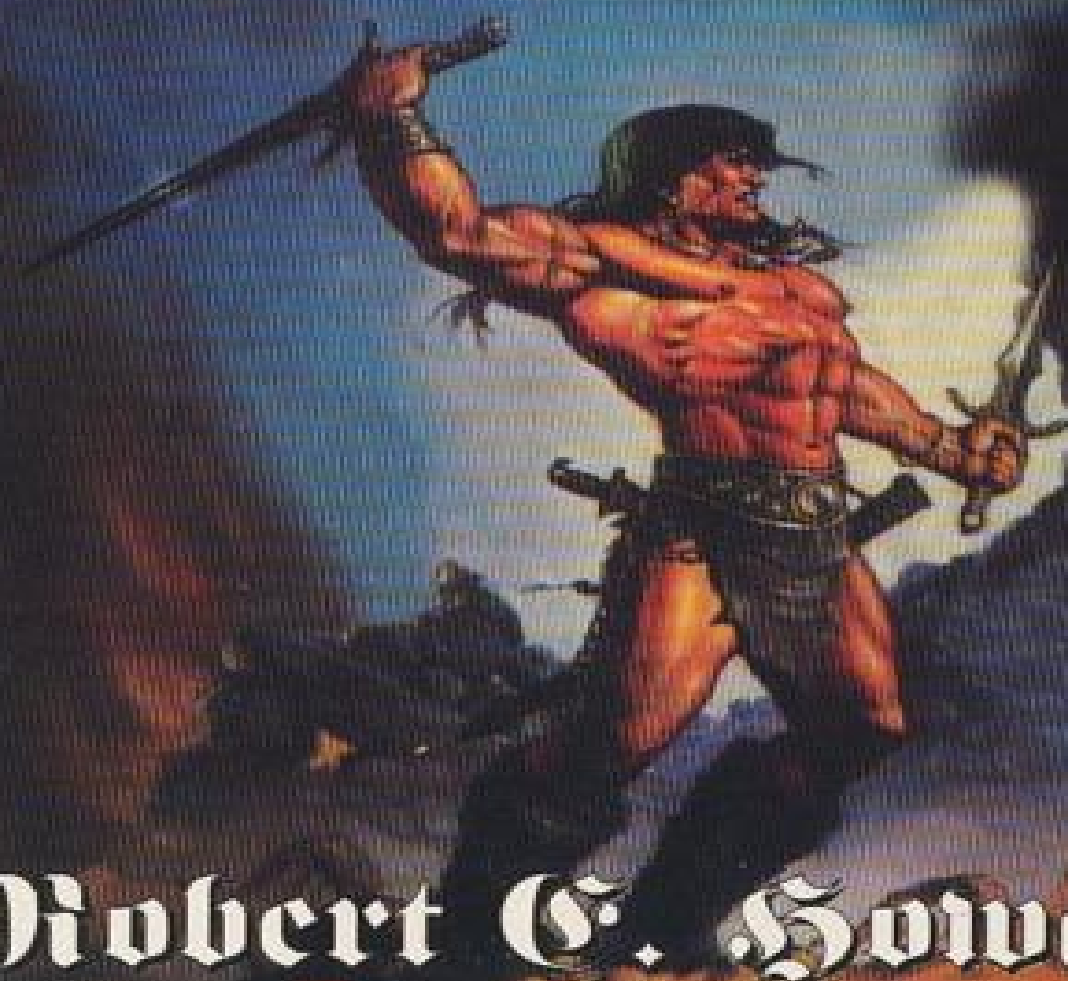


# Conan

inšciiciel



AMBER

Robert G. Howard  
L. Sprague de Camp  
Björn Nyberg

Robert E. Howard

L. Sprague de Camp

**Conan mściciel**

Tytuł oryginału Conan the Avenger

Przełożył Cezary Frąć

# PROLOG

W komnacie panował mrok, rozpraszany z trudem przez długie, cienkie świece osadzone w żelaznym lichtarzu. W ich nikłym blasku trudno było zobaczyć siedzącą przy stole postać w kapturze i długich szatach. Jeszcze głębsze cienie skrywały drugą osobę, pogrążoną w cichej rozmowie z tą pierwszą.

Wtem przez pokój przemknął podmuch wichru, wywołany jakby uderzeniem olbrzymich skrzydeł. Świece zamigotały szaleńczo i postać przy stole nagle została sama.

## SKRZYDŁA Z CIEMNOŚCI

Na tle ciemnego nieba rysowała się dostojna sylwetka królewskiego pałacu w Tarancji. Wzdłuż blanków przechadzali się wartownicy z halabardami, jednak ich czujność była osłabiona. Wszyscy oni zbyt często spoglądali w stronę bramy pałacu, gdzie po zwodzonym moście i pod podniesioną kratą płynął tłum barwnie ubranych rycerzy i ich dam.

Bystre oczy mogły dostrzec hrabiego Prospero, prawą rękę króla, ubranego w szkarłatny kaftan z poitaińskimi lampartami wyszywanymi na piersiach złotą nicią. Jego długie nogi obute były w kamasze ze świetnej skóry z Kordawy. Za nim szedł Pal antides, dowódca Czarnych Smoków, potem Trocero, dziedziczny hrabia Poitanii, którego szczupła i wyprostowana sylwetka zadawała kłam siwym włosom, dalej hrabiowie Manary i Couthen, baronowie Lor i Imirusu oraz wielu, wielu innych. Wszystkim towarzyszyły damy w pysznych jedwabiach i satynach. Pachołkowie z orszaków odnosili lektyki i odprowadzali pozłacane rydwany, w których przybyli ich państwo.

W Aquiloni od ponad roku panował pokój. Dwanaście miesięcy minęło od próby podboju przedsięwziętej przez króla Nemedi, który przy pomocy wskrzeszonego archeońskiego czarnoksiężnika Xaltotuna chciał wydrzeć królestwo Conanowi.

Na szczęście intryga Nemediańczyka spełzła na niczym, a wysuszona mumia martwego Xaltotuna, uniesiona przez jego tajemniczy rydwan, zniknęła w ciemności odległych części pieła.

Potęga króla Conana stawała się coraz większa, a coraz liczniejsi uchodźcy wracali do kraju na wieść o jego mądrym i sprawiedliwym panowaniu. Jedynych kłopotów przysparzali dżicy

Piktowie, najeżdżający regularnie zachodnią granicę. Tych jednak utrzymywał w ryzach zaprawiony w bojach legion stacjonujący nad Grzmiącą Rzeką.

Była to noc balu. Pochodnie płonęły jasno i gęsto, a mieniące się kolorami kobierce z Turanu przysłaniały surowe, kamienne płyty. Służący pomykali spiesznie, popędzani krzykami

majordomusa. Król Conan wydawał królewską ucztę na cześć swojej królowej, Zenobi, niegdyś

jednej z niewolnic w królewskim seraju w Nemedi. To ona pomogła mu uciec, gdy był uwięziony w lochach Belwerus i za to została nagrodzona najwyższym zaszczytem, jaki mógł przypaść w

udziale kobiecie zachodnich krain. Została królową Aquilonii, najpotężniejszego królestwa na

zachód od Turanu.

Strojnje odziani goście od dawna widzieli żarliwą miłość, jaka łączyła królewskich małżonków.

Widoczna była w ich słowach, gestach i zachowaniu.

Teraz, wbrew swej gwałtownej, barbarzyńskiej naturze Cymmerianin stał w stosownej

odległości od Zenobii i odpowiadał na powitania i ukłony z łatwością, która zdawała się być

naturalną, lecz w rzeczywistości została przyswojona całkiem niedawno. Co chwila oczy króla

wędrowały w kierunku odległej ściany, gdzie w równym rzędzie wisały miecze, topory, maczugi, włócznie i oszczepy. Król pragnął pokoju dla swego ludu, lecz będąc urodzonym barbarzyńcą,

tęsknił za rozkosznym widokiem krwi wrogów, trzaskiem ich zbroi i kości pękających pod ciężkim ostrzem. Ale teraz był czas pokoju... Conan pozwolił, by jego oczy przez chwilę napawały się

urodą hrabianki, która właśnie składała mu dworny ukłon. Kobiety były tak piękne, że nawet

bezstronny sędzia miałby kłopoty z wyłonieniem najpiękniejszej, jednakże królowa zaćmiewała

urodą wszystkie inne. Jej doskonałą figurę podkreślała obcisła suknia z głębokim wycięciem.

Jedyną ozdobę stanowił srebrny diadem spinający wzburzoną masę falistych czarnych włosów. Co więcej, z twarzy o pięknych rysach promieniowała wrodzona szlachetność i dobroć. I tak, jak król był uważany za szczęściarza przez otaczających go mężczyzn, tak kobiety zazdrościły królowej Zenobii.

Conan odziany w prostą czarną tunikę, czarne spodnie i czarne buty z miękkiej skóry, wyglądał

niezwykle dostojnie. Złoty Lew Aquiloni pysznił się złotem na jego piersiach. Prócz tego jedyną ozdobą był wąski złoty diadem, okalający prosto przyciętą grzywę czarnych włosów. Patrząc na jego szerokie, masywne ramiona, smukłą talię i biodra oraz muskularne nogi, w których wciąż

drzemała moc tygrysa, każdy widział, że ten człowiek nie zrodził się wśród cywilizowanych ludzi.

Świadczyły o tym także błękitne oczy Conana, żarzące się w ciemnym, poznaczonym bliznami

obliczu, których tajemnicy nigdy nikomu nie udało się zgłębić. Oczy te widziały sceny

niewyobrażalne dla zebranego w sali wielobarwnego tłumu: pola bitewne zasłane gnijącymi

zwłokami, deski pokładów czerwone od krwi, barbarzyńskie rzezie i sekretne obrządki odprawiane na ołtarzach najdziwniejszych bóstw. Jego potężne dłonie z jednaką, śmiertcionośną wprawą

posługiwały się zachodnim szerokim mieczem, turańską szablą, zuagirskim jataganem i siekierą

drwała. Wojował z przedstawicielami wszystkich ras oraz nieludzkimi istotami z mrocznych i nienazwanych sfer.

Lecz teraz rozpoczął się bal. Król Conan rozpoczął go wraz z królową pierwszymi krokami aquilońskiego menueta. Chociaż nie był znawcą wielce skomplikowanych figur tańca, jego pierwotne instynkty z łatwością wychwyciły rytm melodi, co spotęgowało rezultaty pośpiesznych lekcji udzielanych w ciągu minionego tygodnia przez mistrza ceremonii. Za moment wszyscy ruszyli w tany i wkrótce kolorowe pary zaroily się na mozaikowej podłodze.

Grube świece zalewały komnatę ciepłym, łagodnym blaskiem. Nikt nie dostrzegł lekkiego przeciągu, który sprawił, że płomienie na jednym ze świeczników zaczęły drżeć i migotać. Nikt też nie zauważył pary płonących oczu, które chciwie spozierały z okiennej wnęki na bawiący się tłum, aż w końcu zatrzymały się na smukłej, odzianej w srebrzystą szatę postaci w ramionach króla. Z ciemności wyrwał się cichy, złośliwy chichot. Po chwili okno zawarło się bezgłośnie.

Wielki gong z brązu ogłosił przerwę. Goście, rozgrzani tańcem, usiedli przy stołach, by ochłodzić się mrożonym winem i turańskim sorbetem.

— Conanie! Muszę wyjść na świeże powietrze. Zgrzałam się w tańcu i chciałabym ochłonać — szepnęła królowa, ruszając w kierunku otwartych drzwi, wiodących na szeroki balkon.

Król chciał wyjść razem z nią, lecz w połowie drogi zatrzymało go co najmniej dwadzieścia kobiet. Błagały, by powiedział czy to prawda, że jak głosiły plotki był wodzem dzikich hord legendarnego Ghulistanu w Górach Himeliańskich? Czy to on śmiałym atakiem obronił królestwo Khauranu przed shemickimi grabieżcami najemnego kapitana Conatantiusa? Czy naprawdę był kiedyś piratem? Pytania sypały się niczym lawina. Conan odpowiadał lakonicznie albo wymijająco, ogarnięty złym przeczuciem. Coś pchało go, by udać się na balkon za Zenobią, chociaż nie dopuszczał do siebie myśli, by jakieś niebezpieczeństwo mogło zagrozić jego umiłowanej małżonce tu, w stolicy, we własnym zamku wśród przyjaciół i wiernych żołnierzy. Jednak w głębi duszy przeczuwał niebezpieczeństwo i ciężące nad głową królowej fatum. W końcu gnany nieledwie zwierzęcym instynktem, mimo nalegań kobiet, ruszył ku drzwiom

balkonowym.

Gdy łokciami, nie bacząc na monarsze dostojęństwo, utorował sobie drogę przez tłum, uchwycił wzrokiem srebrzystą postać Zenobi. Królowa stała plecami do niego, jej włosy falowały w łagodnym, chłodnym podmuchu. Conan odetchnął z ulgą. Wyglądało na to, że złe przeczucia były bezpodstawne, jednakże nie zawrócił do sali. Wtem szczupłą sylwetkę królowej jakby pochłonęła noc. Czarny całun opadł na wszystkich zebranych. Pewne okolone zarostem wargi, przysłonięte dyskretnie chustką, wyszeptały tajemne słowa. Przez komnatę przeleciało lodowate tchnienie przeznaczenia. Królowa krzyknęła.

Conan niczym pantera skoczył przez drzwi balkonowe, przewracając szlachetnych gości i zastawiony stół. W powietrzu zawibrował następny krzyk. Dźwięk cichł stopniowo, jak gdyby Zenobia oddalała się od zamku. Gdy król dotarł do balkonu, nikogo już tam nie było.

Conan omiół wzrokiem pionowe, niemożliwe do pokonania ściany pałacu. Tam również nikogo nie dostrzegł. Potem spojrział w górę. Na tle rozjaśnionego przez księżyc nieba ujrzał przerażające straszdyło, które w zagiętych szponach trzymało jego ukochaną żonę. Niesiony potężnymi wymachami nietoperzych skrzydeł, potwór wkrótce zmalął do kropki ledwie widocznej nad wschodnim horyzontem.

Conan przez chwilę stał niczym czarny posąg. Zdawało się, że żyją tylko jego oczy, promieniujące lodowatym gniewem i bezgraniczną rozpaczą. Kiedy wreszcie król drgnął i odwrócił się do gości, ci cofnęli się trwożliwie, jakby on sam był tą straszną bestią, która uprowadziła królową. Bez słowa przeszedł przez komnatę balową, roztrącając ludzi, stoły oraz krzesła zagradzające mu drogę i zatrzymał się przed ścianą ozdobioną bronią. Wciąż milcząc ściągnął prosty, ale ciężki miecz, który dobrze mu służył w wielu wyprawach. Gdy uniósł ostrze, z jego ust dobyły się wibrujące furią słowa:

— Od tej godziny przestaję być waszym królem i nie będę nim, póki nie wrócę z mą umiłowaną królową. Skoro nie potrafiłem obronić własnej kobiety, nie nadaję się by rządzić krajem. Ale, na Croma, odnajdę porywacza i zemszczę się, nawet gdyby chroniły go wszystkie armie świata!

A potem król otworzył usta w niesamowitym i przerażającym okrzyku, który przetoczył się

echem przez salę. Ryk zabrzmiał niczym wrzask potępionych dusz sprawiając, że wiele twarzy pobladło ze strachu.

Król wyszedł.

Prospero pośpieszył za nim. Trocero przystanął, omiótł wzrokiem zebranych, a potem on również podążył za Conanem. Drżąca poitaińska hrabianka wypowiedziała słowa, które wstrząsnęły wszystkimi gośćmi:

— Czym był ten przerażający wrzask? Zmroził krew w moich żyłach. Czułam się tak, jakby zawisło nade mną straszliwe fatum.

Siwowłosa hrabia Ramanu, weteran nadgranicznych wojen skinął głową.

— Twe przypuszczenie niewiele mija się z prawdą, pani — rzekł. — To wojenny okrzyk cymmeriańskich klanów. Wojownicy wydają go tylko wtedy, gdy rzucają się w bitwę, od której nie będzie odwrotu — przerwał na chwilę. — Słyszałem go już wcześniej. W krwawy dzień upadku Venarium, kiedy czarnowłosi barbarzyńcy zaroili się na murach miasta mimo gradu naszych strzał i przyłożyli nam miecze do gardeł...

— Nie, Prospero, nie! — ciężka pięść Conana zadudniła na stole. — Będę podróżował sam!

Wyprowadzenie legionów z królestwa może sprowokować atak jakiegoś spiskującego wroga.

Tarascus nie zapomniał cięgów, jakie mu sprawiliśmy, a Koth i Ophir są niepewne jak zawsze.

Wyruszę niejako król Conan z Aquiloni, lecz Conan z Cymmeri, pospolity awanturnik.

— Ależ, Conanie — zaczął Prospero rzucając na szalę całą łączącą ich przyjaźń — nie możemy pozwolić, byś ryzykował życiem w tak niepewnej wyprawie. Jadąc samotnie nigdy nie osiągniesz celu, mając zaś za plecami kopie poitaińskich rycerzy, nie będziesz musiał przejmować się jakimikolwiek wrogami — Pojedziemy z tobą.

W błękitnych oczach Conana zapłonęło uznanie, lecz mimo wszystko barbarzyńca potrząsnął przecząco czarną grzywą.

— Nie, przyjacielu. Czuję, że moim przeznaczeniem jest samemu uwolnić królową. Nawet



pomoc mojego wiernego rycerstwa nie zdoła zagwarantować mi zwycięstwa. Ty pod moją

nieobecność będziesz dowodził armią, Trocero zaś będzie władał królestwem. Jeśli nie wrócę w ciągu dwóch lat wybierzcie nowego króla!

Conan zdjął złoty diadem i położył go na dębowym stole. Potem zastygł w bezruchu, pogrążony w ponurych myślach.

Trocero i Prospero nie próbowali przerywać jego zadumy. Dawno temu nauczyli się, że ścieżki

Conana są kręte i niepojęte dla cywilizowanego człowieka. Przed nimi stał nie tylko król, któremu uprowadzono małżonkę. Stał tu pierwotny człowiek, którego kobietę porwały mroczne siły, i który bez zbędnych słów wykuwał w sercu straszliwą zemstę.

Conan wzruszył ramionami, po czym przerwał milczenie:

— Przygotuj konia, Prospero, z rzędem prostego najemnika. Wyruszam natychmiast.

— Dokąd? — zapytał wódz.

— Do czarnoksiężnika Peliasa z Koth, który mieszka w Khanyrii w Khorai. W dzisiejszych wydarzeniach wyczuwam smród czarnej magii. Ten fruujący stwór nie był ziemskim ptakiem.

Nie żywię zbyt dużego szacunku dla magów i wolałbym obejść się bez takiej pomocy, lecz rada Peliasa jest mi niezbędna.

Za drzwiami komnaty stał mężczyzna z uchem przyciśniętym do ciężkich, dębowych drzwi. Po ostatnich słowach Conana uśmiech rozjaśnił twarz szpiega. Rozejrzawszy się ukradkowo, mężczyzna skrył się za jedną z przysłoniętych ciężkimi draperiami nisz, które ciągnęły się wzdłuż korytarza. Usłyszał skrzyp otwieranych drzwi i kroki, gdy Conan i jego przyjaciele przeszli obok ku schodom.

Szpieg czekał cierpliwie, póki odgłos kroków nie ucichł w dali. Wtedy wymknął się z ukrycia.

Ubrany w strój dworzanina przeszedł przez pałac nie przyciągając niczyjej uwagi. Zniknął w kwaterach dla służby i po chwili wyłonił się odziany w ciężki wełniany płaszcz. Podał hasło strażnikowi w bramie i ruszył do zachodniej części miasta.

Nikt mu nie towarzyszył. Pomniejsze uliczki i zaułki były ciemne jak wnętrze komina. Jedyne kilka promieni księżyca rozpraszało panujący w nich mrok. Strażnicy, z pałkami w rękach i w

spiczastych hełmach na głowach, przemierzali ulice, rozmawiając przyciszonymi głosami.

Nierządnicę wychylały się z okien nawołując przechodnia. Niektóre były piękne. Głęboko wydekoltowane suknie czy jedwabne fatałaszkę pozwalały podziwiać ich smukłe, białe szyje. Inne, podstarzałe, zakrywały swe zmarszczki pudrem i hyrkańskim różem.

Mężczyzna mijał je obojętnie, nie zbacząc z obranej drogi. W końcu dotarł do olbrzymiego domostwa stojącego w podobnym do parku ogrodzie. Okna były ciemne, tylko w jednym płonęło światło. Ze wszystkich stron wznosił się wysoki mur, ale w niszy znajdowała się mała furka.

Mężczyzna zapukał cztery razy. Drzwi otworzył barczysty, śniady Stygijczyk w białej szacie.

Mężczyźni zamienili szeptem parę słów, po czym służący powiódł przybysza w kierunku domu.

Z pewnością nie była to siedziba rodowitego Aquilończyka. Ściany były ozdobione ciężkimi draperiami i bogatymi malowidłami, które przedstawiały motywy nie używane na Zachodzie. Na gobelinach przetykanych złotą i srebrną nicią widniały kryte kopułami marmurowe świątynie, białe iglice oraz ludzie w turbanach i zwiewnych szatach, z zakrzywionymi szablami u boku.

Zdobione arabeskami owalne stoły, otomany zasłane czerwonymi i zielonymi jedwabiami oraz złote wazy z egzotycznymi kwiatami nadawały komnatom egzotyczny powab Wschodu.

Spoczywający na otomanie wielki, rumiany mężczyzna sączył wino z wysadzanego klejnotami pucharu. Po chwili niedbałym ruchem odpowiedział na ukłony służącego i przybysza.

— Co cię sprowadza, Marinusie? — w jego płynnym jak miód głosie kryły się cierpkie tony. —

Mało masz pracy na królewskim balu? A ten nie skończy się do rana, chyba że Conan popadnie w jeden ze swych barbarzyńskich nastrojów. Co się stało? — upijając kolejny łyk wina, przewiercił

Marinusa ostrym jak stal spojrzeniem.

— Ghandar Chenie, panie, królowa Aquilonii została porwana przez nieziemską bestię, która odleciała z nią za horyzont! Król wyrusza tej nocy na poszukiwania. Jednakże najpierw, szukając tropu, odwiedzi kothyjskiego czarnoksiężnika Peliasa w Khanyrii.

— Na Erlika, to ci nowiny! — Ghandar Chen poderwał się, w jego oczach zapłonęło podniecenie. — Pięciu moich trucicieli wisi na wzgórzu egzekucji, jako mięso dla kruków. Ci

przekłęci gwardziści z Czarnych Smoków są zupełnie nieprzekupni. Ale teraz Conan znajdzie się sam, na obcej ziemi!

Klasnął w dłonie. Stygijczyk podszedł bliżej i stanął na baczność. Ghandar Chen przemówił:

— Słyszałeś, Conan z Aquiloni wyrusza tej nocy w długą podróż. Jego pierwszym celem jest miasto Khanyria w Khorai, gdzie będzie szukał pomocy u czarnoksiężnika Peliasa. Spiesz do

Baraccusa, który stoi obozem nad rzeką Yivgą i każ mu wziąć tylu godnych zaufania ludzi, ilu tylko będzie potrzebował. Niech zabije Cofana w Khanyrii. Cymmerianin nie może dotrzeć do

Peliasa. Jeśli ten przekłety nekromanta zdecyduje się mu pomóc, jednym ruchem ręki może zetrzeć nas wszystkich z powierzchni ziemi!

Oczy ponurego Stygijczyka błysnęły, a jego nieruchome dotąd rysy skrzywiły się w przerażającym uśmiechu.

— Doskonale znam Conana! — warknął. — Od czasu, gdy zmiądzzył hordy księcia Kutamuma za granicami Khorai. Byłem jednym z kilku ocalałych, ale później zostałem pojmany przez kothyjskich łowców niewolników i sprzedany. Ja, szlachetnie urodzony, stworzony do wojny i łowów! Długo musiałem czekać na chwilę zemsty! Jeśli bogowie zezwolą, sam zabiję

Cymmerianina — jego dłoń zacisnęła się na rękojeść długiego sztyletu. — Wyruszam natychmiast, panie. — Skłonił się głęboko i wyszedł.

Tymczasem Ghandar Chen usadowił się przy bogato inkrustowanym stole z różanego drewna.

Z szuflady wyjął pióro, pergamin i zaczął pisać:

Do cesarza Yezdigerda, pana Turanu i Wschodniego Imperium. Pozdrowienia od wiernego sługi Ghandar Chena. Conan Cymmerianin, kozak i pirat, wyrusza sam do Khanyli. Kazałem go tam zabić. Kiedy tak się stanie, wyślę ci, palnie, jego głowę. Gdyby zdołał uciec dzięki jakiejś magicznej sztuczce, jego droga będzie wiodła przez terytorium Turanu. Piszę w Roku Konia, trzeciego dnia Złotego Miesiąca.

Podpisał list i posypał go piaskiem, a gdy atrament wysechł, podał pergamin czekającemu

Marinusowi, mówiąc:

— Pojedziesz szybko na wschód. Bez chwili zwłoki. Moi służący dostarczą ci broń i konia.

Oddasz to samemu Yezdigerdowi w Aghrapur. On hojnie wynagrodzi nas obu.

Uśmiech zadowolenia rozjaśniał twarz Turańczyka, gdy z powrotem położył się na otomanie i sięgnął po puchar.

## PIERŚCIEN RAKHAMONA

Promienie południowego słońca smagały pustynię jak bat białego ognia. Odległy palmowy gaj falował w rozgrzanym powietrzu. Stado sępów wisiało na ich koronach niczym kiście czarnych, dojrzałych winogron. Nie kończące się połączenie piachu zdawały się nie mieć końca. Jak wzrokiem sięgnąć ciągnęły się faliste wydmy i jałowe równiny.

Samotny jeździec zatrzymał konia w cieniu palm otaczających oazę. Chociaż nosił śnieżnobiały burnus mieszkańców pustyni, szeroka i poznaczona bliznami ręka ocieniająca wypatrujące oczy była brązowa, nie naturalną śniadością Zuagira, lecz świeżą, słoneczną opalenizną. Niebieskawe błyski przy rękawach zdradzały, że podróżnik pod przewiewnym strojem nosi kolczugę. U jego boku wisiał długi, prosty miecz w nie zdobionej skórzanej pochwie.

Conan miał za sobą długą i pośpieszną podróż. Tylko w drodze do Koth zajeździł cztery konie.

Po dotarciu do pustyni na zachodnim krańcu tego królestwa, przystanął w brudnej, pogranicznej wiosce, by kupić burnus oraz zapasy na drogę. Nikt go nie zaczepił, chociaż wiele rozczochranych głów wysuwało się z zaciekawieniem z chat. Kilku uzbrojonych strażników karawany gładziło brody, zastanawiając się nad przyczyną pośpiechu tego najemnika. Tutaj, w królestwie Koth, nieliczni byli ci, którzy mogliby rozpoznać Conana, króla Aquilonii.

Bystre oczy Conana raz jeszcze omiotły horyzont. W zamglonej dali dostrzegł niewyraźne zarysy kopulastych budowli i wyniosłych murów. To mogła być tylko Khanyria w królestwie Khorai. Tam miał znaleźć Peliasa, którego zamierzał prosić o pomoc.

Spotkał tego maga pięć lat wcześniej i zaprzyjaźnił się z nim, gdy Kothyjczyk leżał uwięziony w podziemiach szkarłatnej cytadeli swego wroga Tsotha-lanti.

Conan pognał czarnego ogiera w kierunku odległych wież.

— Na Croma! — mruknął. — Mam nadzieję, że Pelias jest przytomny i nie leży pijany na umór.

Lecz nawet jeśli tak, to na Badba, już ja go otrzeźwię!

Na wąskich ulicach i brukowanym targowisku Khanyri kłębił się pstrokaty tłum. Zuagirowie z pustynnych osad na północnym wschodzie, najemnicy o zachłannych oczach i dłoniach

spoczywających na rękojeściach, przekupnie zachwalający swe towary, wymalowane wyzywająco nierządnicę w czerwonych, króciutkich tunikach tworzyli malowniczy widok. Od czasu do czasu tłuszcza rozpierzchała się na boki przed swiątą bogatego wielmożę, niesionego w wyperfumowanej lektyce na ramionach silnych jak woły kushyckich niewolników. W tłumie krążyli też strażnicy, łomoczący ciężkimi sandałami, szczękający rynsztunkiem i z powiewającymi pióropuszcami z końskiego włosia.

Crassides, kapitan straży przy Zachodniej Bramie, skubał swą siwiejącą brodę i mruczał zadumany. Cudzoziemcy często przybywali do miasta, ale rzadko tak niezwykli jak dzisiejsi przybysze. Krótco przed południem, w chmurze kurzu i pustynnego piachu, nadjechało siedmiu jeźdźców. Prowadził ich chudy osobnik o wzroku szakala. Nad jego cienkimi ustami rysowała się linia rzadkich wąsów. Był uzbrojony jak zachodni rycerz, chociaż jego pancerz i hełm były gładkie, bez żadnego herbu. Za nim jechał wielki Stygijczyk na czarnym rumaku. Burnus spowijał go szczelnie i jedyną widoczną bronią był wielki bojowy łuk.

Pozostałych pięciu było równie dobrze uzbrojonych, a w dłoniach trzymali długie lance. Wyglądali na zatwardziałych bandziorów.

Zatrzymywanie cudzoziemców bez dobrego powodu nie leżało jednak w zwyczaju khanyriańskich strażników. Ich miasto było miejscem, gdzie spotykali się mieszkańcy Wschodu i Zachodu, aby wymieniać towary i plotki. Niemniej jednak Crassides obrzucił zaciekawionym spojrzeniem całą siódmkę, która w towarzystwie sfory obszczekujących ich kundli odjechała w kierunku północnej dzielnicy.

Reszta dnia minęła szybko, ale teraz znów wyglądało na to, że korowód dziwnych cudzoziemców jeszcze się nie skończył. Gdy słońce rzucało ostatnie promienie na ciemniejące niebo, wysoki, opalony przybysz zatrzymał wierzchowca przed bramą i zażądał wpuszczenia. Crassides, przywołany przez jednego ze strażników, przybył w chwili, gdy drugi wartownik krzychał:

— Czego tutaj szukasz, łajdaku? Nie wpuszczamy po nocy byle kogo! Nie chcemy, by cudzoziemscy włóczędzy podrzynali nam gardła i psuli nasze kobiety! Podaj mi swoje imię i cel

podróży, zanim zakuję cię w żelaza!

Błyszczące oczy nieznajomego, na wpół ukryte pod kapturem burnusa, przyjrzały się lodowato strażnikowi.

— Mój przyjacielu — powiedział obcy z chropowatym akcentem — za słowa mniej obraźliwe od twoich rozciąłem więcej niż setkę gardzieli. Wpuść mnie, albo, na Croma, wrócę z hordą, aby splądrować tę kupę szop!

— Nie tak szybko! — zawołał Crassides, odpychając na bok strażnika. — Zmykaj, młody głupcze, później nauczę cię, jak należy rozmawiać z cudzoziemcami. Mój panie! — zwrócił się do jeźdźca. — Nie chcemy żadnych awantur w Khanyri, a jak widzisz, brama jest zamknięta na noc.

Zanim ją otworzymy, musisz się opowiedzieć.

— Zwij mnie Arus — mruknął przybysz. — Szukam czarnoksiężnika Peliasa.

— Wpuście go! — rozkazał Crassides.

Odciągnięto ciężkie zasuwę. Dwaj strażnicy napaarli na brązowe sztaby i jedno ze skrzydeł bramy otwarło się powoli. Przybysz wjechał do środka nie zaszczycając spojrzeniem strażników.

Skierował się do północnej dzielnicy i wkrótce stukot podków jego konia ucichł w oddali.

Młody wartownik, hamując gniew, zwrócił się do swojego kapitana:

— Dlaczego wpuściliśmy tego zarozumiałego prostaka niczym pana tego miasta? Czemu nie przyłożyliśmy mu żelazem po żebrach?

Crassides uśmiechnął się pod nosem.

— Być może lata nauczacie rozumu, chociaż w to wątpię. Chybaś nigdy nie słyszał, jak przed laty barbarzyńca z północy podobny do tego został pojmany przez wojowników jednego z miast

Shemu na południu? I jak uciekł, zebrał bandę wyjętych spod prawa Zuagirów i wrócił, by

wywrzeć zemstę? I jak dzika horda wpadła do miasta, wycinając ludzi, obłupiając jeńców ze skóry na rynku i paląc wszystko za wyjątkiem pala, na którym zatknęto głowę tamtejszego księcia? Ten człowiek wielce pasuje do tej opowieści. Ale sam niewiele może nam zaszkodzić. A jeśli źle nam życzy, Pelias przejrzy to dzięki arkanom swej sztuki i znajdzie sposób, by temu zaradzić. Teraz pojmujesz?

Conan wiedział, że Pelias mieszka w swojej wieży z żółtego kamienia na północnym krańcu miasta. Planował najpierw odwiedzić czarnoksiężnika, a później poszukać noclegu. Mogła to być nawet najpodlejsza karczma. Nie zniewieściał w ciągu lat spędzonych w cywilizowanym świecie.

Chleb, kawał mięsiwa i kufel pianistego piwa były wszystkim, czego potrzebował. Do snu starczyłaby mu podłoga.

Conan nie chciał spać u Peliasa, mimo wszystkich luksusów, które gospodarz mógł mu zaoferować. W nocy zbyt wiele mrocznych i nienazwanych rzeczy mogło pełzać korytarzami dworu czarnoksiężnika...

Nagle rozległo się przytłumione przekleństwo i okrzyk przestachu. Drzwi domu po prawej otworzyły się gwałtownie i na ulicę wybiegła młoda dziewczyna. Conan zatrzymał konia.

Dziewczyna miała figurę mekhrani z rajskiego domu rozkoszy, w którym chcieliby przebywać po śmierci wierni wyznawcy Erlika. Jej prosty strój był porwany w strzępy. Dziewczyna, odgarniając do tyłu czarne jak smoła włosy, rzuciła przerażone spojrzenie w kierunku drzwi, potem skierowała oczy na Conana siedzącego w siodle niczym posąg.

— Co się stało, dziewczyno? — zapytał Conan, pochylając się nieco. — Pokłóciłaś się z kochankiem?

Dziewczyna wyprostowała się wdzięcznym ruchem.

— Dwaj pijani żołnierze próbowali mnie zgwałcić. Przyszłam tu tylko po wino dla mojego ojca.

Oni zabrali mi pieniądze!

Z oczu Conana, gdy zeskakiwał na ziemię, strzeliły zimne płomienie. Jego barbarzyński kodeks honorowy kazał mu nienawidzić mężczyzn, którzy w brutalny i sprośny sposób narzucają się kobietom.

— Spokojnie, dziewczyno. Pociągniemy ich trochę za brody. Po prostu otwórz drzwi. Są jedynymi gośćmi?

Dziewczyna przytaknęła lękliwie, a następnie podeszła z nim do drzwi i otworzyła je po chwili wahania. Conan zrobił dwa długie kroki i znalazł się w środku. Drzwi zatrzasnęły się za jego plecami.



Nie zastał tego, czego się spodziewał. W karczmie nie było dwóch pijanych żołnierzy. Pod ścianami stało siedmiu przygotowanych do walki mężczyzn, w których dłoniach błyszczały miecze i sztylety. Na widok Cymmerianina chęć mordu zapłonęła w ich oczach. Gwałtownie skoczyli ku niemu.

Człowiek cywilizowany zapewne stanąłby jak wryty i w następnej chwili został posiekany na kawałki, ale nie potężny barbarzyńca. Pierwotny instynkt ostrzegł go już w momencie przekraczania progu, a niewiarygodny refleks błyskawicznie pchnął do działania. Nie tracił czasu na wyciąganie miecza. Zanim zdołałby to uczynić, napastnicy dopadliby go jak stado wilków. Jego jedyna szansa polegała na zuchwałym zaskoczeniu przeciwników, zanim zdołają go otoczyć.

Potężnym kopnięciem posłał ciężką ławę prosto pod nogi trzech przeciwników, gdy ci ruszyli do przodu. Bandyci upadli wśród brzęku oręża, klnąc siarczyście. Conan uskoczył przed świszczącym mieczem jednego z pozostałej czwórki i uderzył pięścią w twarz mężczyzny, zanim ten odzyskał równowagę po potężnym zamachu. Poczul, jak kości pękają pod jego ciosem, który cisnął napastnika na podbiegających kamratów.

Cymmerianin wykorzystując powstałe zamieszanie, przebił się przez pierścień otaczających go wrogów, obrócił z prędkością pantery, złapał ciężki dębowy stół i naprężając potężne mięśnie cisnął go w twarze bandytów. Ich broń zadzwieczała na deskach podłogi, a izbę wypełniły jęki i krzyki bólu. Przerwa w bójce dała Conanowi czas na dobyte broni.

Cymmerianin nie czekał na ponowny atak. Zdradziecka pułapka rozgrzała mu krew w żyłach.

Czerwona mgła przysłoniła mu oczy, a umysł oszalał z żądzy zabijania. Sam ruszył do ataku, jeden przeciwko sześciu wciąż zdolnym do walki. Z furią kopnął w brzuch jednego z łotrów, który jeszcze klęczał, podpierając się rękami. Potem sparował sztyletem cios innego i dzikim zamachem ciężkiego miecza odrąbał mu prawą rękę. Ręka wraz z mieczem upadła na podłogę, a mężczyzna, krzycząc i rozbryzgując krew, zwinął się we dwoje i runął obok niej.

Pozostała czwórka zmieniła taktykę. Wysoki przywódca o wilczych rysach zamarkował cięcie w nogi Conana i mało brakowało, by miecz barbarzyńcy pozbawił go głowy. Uratował ją tylko rozpaczliwy rzut na podłogę. Conan rozpoznał w nim Baraccusa, aquilońskiego szlachcica,

którego za spiskowanie z Ophirczykami skazał na wygnanie.

W tej chwili do ataku przystąpili trzej pozostali. Jeden z nich desperackim ciosem trafił w hełm Conana, wgniatając blachę. Cymmerianinowi gwiazdy zawirowały przed oczami, ale pchnął podstępnie w górę i usłyszał chrapliwy wrzask. Czubek sztyletu złamał się na ogniwach kolczugi okrywającej drugiego bandytę, jednak miecz rozplątał jego gardło.

Kiedy Conan otarł krew z twarzy, dostrzegł, że ma przed sobą tylko jednego wroga. Stygijczyk podnosił czyjaś broń z podłogi, zaś wysoki przywódca chwiejnie wstawał po upadku.

Conan skoczył ku bandycie, ale pośliznął się na kałuży krwi i upadł z hukiem na podłogę.

Zabójca zaskrzeczał triumfalnie i rzucił się na barbarzyńcę. Conan zdążył kopnąć go w kolano.

Mężczyzna upadł na Cymmerianina, nadziejąc się na nadstawiony miecz. Conan odrzucił ciało

na bok i z kocią zwinnością zerwał na równe nogi. Pokryty kurzem Stygijczyk ruszył w kierunku Conana. Uchylił się przed mieczem Cymmerianina, narzucił nań swój biały płaszcz i sądząc, że uwięził w fałdach odzienia ostrze barbarzyńcy, pchnął nożem w bok Conana z taką siłą, że ogniwa kolczugi pękły i czubek wbił się w ciało. Jednak Conan, nie zwracając uwagi na ranę i płaszcz wroga spowijający miecz, z morderczą siłą dokończył rozpoczęty ruch. Usta Stygijczyka

otworzyły się z bólu, a sztylet wysunął z bezsilnej dłoni i zabrzączał na podłodze.

Conan wyrwał klingę z piersi Stygijczyka i zbliżył się do przywódcy, który wyszedł z potyczki bez szwanku.

— Zapomniałeś o rycerskim honorze od czasu, gdy przepędziłem cię z twych włości, co,

Baraccusie? — warknął. — Powinienem był ściąć cię zaraz po odkryciu zdrady, ale ta chwila jest równie dobra.

Conan prezentował przerażający widok. Spod wgniecionego hełmu, spływała krew i pot. Jego prawy bok był czerwony, ale w oczach płonęła nieugaszona żądza mordu. Baraccus, wspominając przerażające legendy o poprzednich dokonaniach Cymmerianina, stracił całkowicie resztki odwagi. Zawirował na pięcie i czmychnął. Conan ryknął gromkim śmiechem, podrzucił w górę miecz, złapał go niczym oszczep i cisnął z rozmachem. Czub klingi przebił zbroję Baraccusa.

Uciekający zdrajca runął jak długi, z mieczem wibrującym między łopatkami i strumieniem krwi bryzgającym z ust.

Conan, otoczony przez martwych lub konających wrogów, odprężył się nieco, lecz po chwili

poderwał go dobiegający z tyłu wrzask. Odwrócił się błyskawicznie, oczekując kolejnego ataku.

W drzwiach stał gruby mężczyzna, załamujący tłuste ręce.

— Och, litości, co się stało z moim pięknym domem? — lamentował z żałośnie wykrzywioną twarzą. — Wszędzie krew! Meble rozbite!

Dwa kroki starczyły, by Conan stanął przed karczmarzem i przycisnął ostrze nadłamanego sztyletu do jego podbródka.

— Przyłożyłeś do tego rękę, jazgoczący psie! — ryknął. — Nie zdołaliby zastawić tej pułapki bez twojej pomocy.

— Miłosierdzia, panie! Grozili, że poderzną mi gardło! I chyba byłoby to lepsze od tego, co się stało! Obiecali, że wszystko przebiegnie cicho i szybko...

Conan wymierzył mu policzek z taką siłą, że głowa karczmarza z hukiem uderzyła o framugę. Z kącika ust popłynęła strużka krwi.

— Milcz! — warknął Conan, gdy jego gniew opadł trochę. — I ciesz się, że cię nie obdarłem ze skóry!

— Tak... tak panie! — zaszlochał przerażony mężczyzna.

— Teraz przynieś mi wina, zanim zetnę twój tępy łeb! I to najlepszego! I czysty materiał, bym mógł opatrzyć te zadraśnięcia.

Gdy przerażony oberżysta rzucił się, by wykonać polecenia, Conan kopniakami zepchnął ciała pod ścianę i ciężko osunął się na ławę. Uderzyła go pewna myśl. Gdzie jest ta śliczna dziewczyna, od której wszystko się zaczęło? Nie było jej w gospodzie.

Powrócił karczmarz dzierżący w drżących rękach omszałą butlę i cynowy puchar. Conan niecierpliwie wyrwał mu flaszę i przechylił nad wyschniętym gardłem. Kiedy cała zawartość znalazła się w żołądku, i to bez odrywania naczynia od ust, co wywołało niechętny podziw gospodarza, Conan odstawił z hukiem puste naczynie, wytarł usta skrwawionym rękawem i spojrzał na mężczyznę.

— Zabijanie wysusza człowiekowi gardło — oświadczył. A teraz powiedz mi; gdzie jest

dziewczyna, która towarzyszyła tym łotrom?

Gruby oberżysta, zielonkawy ze strachu, przecząco potrząsnął głową.

— Szlachetny panie, do dnia wczorajszego, kiedy przybyła tutaj w cudzoziemskim stroju, nigdy jej nie widziałem. Przebrała się w izbie na piętrze. Nie znam jej imienia, nic o niej nie wiem.

Conan podniósł się, lekko osłabiony od ran, które zwykłego człowieka złożyłyby w łóżu na kilka dni. Wyszarpując miecz z ciała Baraccusa, zagrzmiął:

— Prowadź mnie do jej izby! A jeśli tam czeka następna zasadzka, twoja dusza będzie zaraz gniła w najczarniejszym kręgu piekła.

Przygnębiony gospodarz, potykając się, ruszył po wąskich schodach. Cymmerianin deptał mu po piętach, z wilczą czujnością przepatrując każdy zakamarek. Na piętrze jego przewodnik przystanął przed drzwiami, wyjął klucz z sakwy u pasa, po czym szeroko otworzył drzwi, by rozwiać podejrzenia barbarzyńcy.

Conan uznał, że w tak wąskiej izbie nie byłoby szans na zastawienie pułapki. Jedyne meblami było łóżko i niewielki stolik. Na łóżku leżały zielone jedwabie, złota szarfa, rozwinięty turban z szafirową spinką i przejrzysty woal. Zaskoczony Conan znieruchomiał na widok tego przyodziewku. Był to strój turańskiej szlachcianki...

Conan zszedł na dół ze zmarszczonym czołem, dumając nad nową tajemnicą.

Potem z rozszerzonymi nozdrzami i mieczem w pogotowiu ostrożnie wyjrzał na ulicę. W

zranionym sztyletem boku odezwał się ból, lecz mimo to starczyło Cymmerianinowi siły, by

jednym skokiem znaleźć się w siodle czekającego wierzchowca. Conan był zaintrygowany tym, co się stało. Doskonale wiedział, że wielu ludzi różnych wiar, ras oraz pozycji pragnęło jego krwi i z przyjemnością upiekłoby go na wolnym ogniu. Jednakże teraz podróżował szybko i anonimowo.

Jedynie Trocero i Prospero wiedzieli, jakimi podąży szlakami, a ich lojalność była poza wszelkimi podejrzeniami. A jednak uzbrojeni wrogowie czekali na niego w zasadzce. Ktoś lub coś

doprowadziło do spotkania Baraccusa z Zachodu z tą Turanką i nakłoniło ich do wspólnego

polowania. Po chwili Conan zrezygnował z zastanawiania się nad tą zagadką. Skoro nie mógł

dojść, kto stoi za tymi wypadkami, postanowił poczekać, aż tajemnicę rozjaśni dalsze

wydarzenia.

Niespiesznie pokłusował ciemną ulicą. Jedyne, nieliczne źródła światła były błyskające w oknach świece. Conan wrócił myślami do pięknej kobiety, która prawie pchnęła go w ramiona

śmierci. Widok jej kształtnej figury rozpalił mu wyobraźnię i w zamian za pomoc zamierzał dostać co najmniej całusa. Teraz żywił wobec niej całkiem inne zamiary, lecz piękna nieznajoma zniknęła jakby za sprawą magii.

Conan dotarł na rozległy, wyludniony plac i w przyćmionej poświacie wyzierającego zza chmur księżycy dostrzegł zarysy zwieńczonej iglicą budowli, która wskazywała w niebo niczym palec. W mroku nocy wieża jaśniała stłumionym, żółtym blaskiem, jakby oświetlały ją ostatnie promienie zachodzącego słońca. To tutaj Pelias skrywał się przed niepożądanymi gośćmi.

Wieżę otaczał szeroki pas zadbanych ogrodów i przystrzyżonych trawników. Mury i bramy nie były potrzebne. Legendy szeptane w ciemne wieczory nauczyły mieszczan i złodziei trzymać się z dala od siedzib czarnoksiężników, do których każdy intruz mógł wejść, ale z których żaden nie wrócił.

Koń Conana spłoszył się na skraju trawnika, zaczął rzeć i tańczyć. Gryzł wędzidło, a na pysku pojawiła się piana.

— Na Croma! — mruknął Cymmerianin. — Zdaje się, że Peliasa strzeże jakaś nieczysta kompania. Ale trudno, muszę tam iść!

Zsiadł z konia i ruszył ścieżką wyłożoną kamiennymi płytami. Bacznie rozglądał się wokoło, nie odrywając dłoni od rękojeści miecza. Nekromanckie rytuały często wzywały nienazwane potworności, które ciągnęły do nocy niczym sępy do padliny. Conan nieraz miał do czynienia z istotami spłodzonymi w innych czasach i płaszczyznach egzystencji. Mówiono, że można z nimi walczyć jedynie z pomocą magii, jednak Conan bardziej ufał ostrzu swego miecza, niż wszelkim czarnoksięskim mamrotaniom i zetlałym, zakurzonym pergaminom.

Na swe szczęście żadne demony ciemności nie zagroziły mu drogi. Cymmerianin dotarł do wieży nie dostrzegając nigdzie najmniejszych oznak życia.

W tej samej chwili chmury odsłoniły księżyc i Conan zobaczył, że żółty kolor wieży pochodzi od niezliczonych złotych monet wmurowanych w tynk. Przyjrzał się tym, które znajdowały się w zasięgu wzroku. Żadna nie była mu znajoma i przypuszczał, że to samo odnosi się do pozostałych.

Te, które mógł zobaczyć, pochodziły zapewne ze Złotego Wieku. Na niektórych złote napisy były tak wytarte, że pozostały jedynie gładkie, błyszczące krążki.

Conan wiedział, że złoto, szczególnie to pochodzące ze starożytnych królestw jest bardzo pomocne w magii. Te monety z pewnością pochodziły z legendarnych lub dawno zapomnianych mocarstw, którymi władali budzący grozę kapłani i czarnoksiężnicy, wlokący krzyczące dziewice do mrocznych pieczar na pożarcie upiornym bestiom, ścinający głowy tysiącom jeńców i wyprawiający uczty z trupów. Conan zadrżał czując emanację tego zła, jednak zdecydowanie pchnął wykute w żelazie odrzwia.

Ciężka metalowa płyta odchyliła się cicho do wewnątrz. Cymmerianin, z mieczem w dłoni, spięty jak grasujący tygrys, wszedł powoli do środka. W padającym przez otwarte drzwi świetle dostrzegł schody. Jedne wiły się w górę, drugie niknęły w mrocznych podziemiach.

Wyczulony węch barbarzyńcy odebrał obcy zapach dochodzący z wiodących w dół schodów.

Conan uznał, że ta piźmowa woń dochodzi z mieszczącego się pod wieżą labiryntu jaskiń. Oczy mu się zwęziły na wspomnienie podobnego odoru, unoszącego się w strasznych katakumbach Pteionu — stygijskiego miasta umarłych, gdzie nocami włóczyły się przerażające widma.

Potrząsnął głową jak zezłoszczony lew i nagle drgnął niespokojnie, gdyż zabrzmiał głęboki, donośny głos:

— Witaj, Conanie! Idź schodami prowadzącymi do góry i podążaj za światłem!

Conan rozejrzał się czujnie, lecz nie wypatrzył źródła dźwięku. Zdawał się on dochodzić zewsząd, niczym ton świątynnego dzwonu. Na wprost jego twarzy rozbłysła ognista kula. Pojawiła się tak niespodziewanie, że Cymmerianin cofnął się instynktownie. Sfera promieniująca jasnym światłem unosiła się samoistnie w powietrzu. Conan zobaczył teraz, że znajduje się w wielkiej sieni ozdobionej gobelinami o starożytnych i nieznanym wzorach. Jedną ze ścian pokrywały półki, zastawione puzderkami z kamienia, srebra, złota i nefrytu. Niektóre były wysadzane klejnotami, inne proste, a wszystkie bezładnie przemieszane.

Kula światła popłynęła powoli w kierunku schodów. Nikt nigdy nie zgłębił myśli czarnoksiężnika, ale zdawało się, że Pelias nie żywi żadnych wrogich zamiarów. Conan bezszelestnie wspinał się po stopniach. Nadal nie puszczał rękojeści miecza, chociaż teraz był

bardziej rozluźniony niż wcześniej. Schody skończyły się na podeście zamkniętym przez obite miedzią drzwi. Widniały na nich osobliwe znaki, układające się w skomplikowane wzory. Conan rozpoznał w niektórych potężne magiczne symbole tajemnej wiedzy starożytnych ras. Spojrzał na nie ponuro. Wtem drzwi otworzyły się i latające światło zgasło.

Teraz nie było potrzebne. Komnata, do której wszedł Conan, była olbrzymia i dobrze oświetlona. Zdobiły ją kosztowne dzieła sztuki z wielu krajów. W licznych lichtarzach płonęły świece, a podłogę pokrywały miękkie kobierce.

Na środku komnaty stała ogromna, zarzucona poduszkami otomana. Leżał na niej Pelias — wysoki, szczupły, siwowłosy mężczyzna w szatach uczonego. Jego oczy były ciemne i zadumane, głowę miał wąską i dobrze uformowaną, stopy i dłonie drobne, zadbane. Studiował coś, bowiem na półce z książkami widniały wolne miejsca, zaś kilka tomów walało się na podłodze obok otomany.

W zasięgu ręki stał stolik zarzucony zwojami pergaminu. Conan wolał nie zastanawiać się, czy kiedyś ten pergamin był żywą, ludzką skórą. Na ścianie wisiało lustro w surowej żelaznej ramie, kontrastującej z przepychem pozostałych sprzętów. Cymmerianin nie był zdziwiony tym

zbytkiem. W przeciwieństwie do większości czarnoksiężników, Pelias nie patrzył krzywo na przyjemności ciała.

— Witaj, Conanie! — rzekł mag. — To już blisko cztery lata... — Pelias dokładnie przyjrzał się Conanowi, który zbliżał się ciężkim krokiem, w drodze chowając miecz do pochwy. — Zostałeś zraniony! I to niedawno! Potrzebujesz czegoś mocniejszego niż wino. Czeka! — Pelias podszedł do rzeźbionego kredensu i otworzył jedno z wielu małych drzwiczek. Wyjął kryształową buteleczkę, do połowy wypełnioną likworem o barwie przydymionego fioletu. Nalał do pucharu hojną miarkę i podał ją barbarzyńcy, mówiąc:

— Wypij to, przyjacielu. Jest sporządzony z sekretnych ziół pochodzących z Mglistych Wysp i ziem leżących za Kush. Wyleczy twoje rany i odpręży sforsowane mięśnie.

Conan wypił miksturę jednym łykiem. Po chwili jego twarz wykrzywił grymas bólu. Żyły zapłonęły żywym ogniem, a w głowie mu zawirowało. Potem to uczucie zostało zastąpione wrażeniem lekkości i zadowolenia. Poczuł się, jak gdyby z ramion spadł mu wielki ciężar. Dotąd nie zdawał sobie sprawy, ile kosztował go miniony wysiłek i rany. Ściągając uszkodzony hełm, wyczuł

mrowienie pod bandażem. Włosy nadal miał sklezione zakrzepłą krwią, jednak rana nie bolała, nie wymacał nawet blizny. Bok i inne poranione części ciała także przestały boleć.

— Prawdziwie magiczny napar, Peliasie! — powiedział Conan ściągając kolczugę. — Zaiste potężny.

— Przejdźmy do twojej sprawy. Co cię sprowadza, samotnie i w takim pośpiechu? Nie słyszałem o żadnym spisku ani wielkich wojnach na północnym zachodzie, w których potrzebowalibyś mojej pomocy.

— Gdyby chodziło o zwyczajną wojnę, nie prosiłbym o magiczną pomoc — mruknął Conan. — Ale mam przeciw sobie mroczne i nieznane moce. Potrzebuję wskazówek, które doprowadziłyby mnie do mego wroga.

W zwięzłych słowach opisał, co się wydarzyło pamiętnej nocy w Tarancji.

Przez długi czas Pelias dumal z brodą opartą na dłoniach. Oczy miał zamknięte i wydawało się, że zasnął, lecz Conan wiedział, że pod tą zwodniczą maską umysł czarnoksiężnika pracuje z nadludzką przenikliwością. Po chwili Pelias powoli uchylił powieki.

— Twoją małżonkę porwał demon z mrocznych królestw leżących poza Górami Nocy. Ja wiem, jak go przywołać, lecz nie sądziłem, że jeszcze ktoś inny na Zachodzie posiada tę wiedzę.

— Wobec tego sprowadź tego czarta, a wyciśniemy z niego prawdę!

— Nie tak szybko, mój gorącogłowy przyjacielu! Nie należy pędzić na oślep w nieznane niebezpieczeństwa! To jasne, że ten demon został przywołany przez czarnoksiężnika obdarzonego mocą wielokroć większą od mocy zwykłych magów. Moglibyśmy ściągnąć go z pomocą czarów i zaklęć, lecz wtedy mielibyśmy do czynienia zarówno z demonem, jak i jego panem, a to mogłoby być za dużo, jak na nasze możliwości. Znam lepszy sposób. Lustro Lazbekri udzieli nam odpowiedzi!

Wstał. Znów otworzył kredens i wyjął matowo połyskujący kubek, na krawędzi którego wryte były dziwne symbole. Conan, który podczas swoich wędrówek posiadał podstawową znajomość wielu pisanych języków, nie potrafił rozpoznać tego pisma.



Czarnoksiężnik wziął mały słoik i nasypał zeń do kubka miarkę czerwonego proszku. Potem postawił kubek na niskim hebanowym stoliku pod lustrem w żelaznych ramach. Podciągnął rękawy swej szaty i wykonał tajemniczy gest.

Błękitny dym uniósł się spiralnie z wnętrza kubka. Cienka z początku smużka grubiała, aż komnatę wypełniła kłębiąca się chmura. Conan z ledwością widział nieruchomą postać zapadającego w trans czarownika.

Cymmerianin miał wrażenie, że minął już wiek cały, a nic się nie działo. Już zaczął się niecierpliwić, kiedy usłyszał szept Peliasa:

— Magia obronna tego czarnoksiężnika jest bardzo silna, Conanie. Nie mogę się przebić. Kto jest twoim opiekuńczym bóstwem?

— Crom, Pan Góry — wymruczał Conan. — Lecz od wielu lat nie miałem nic wspólnego z bogami. Ja zostawiłem ich samym sobie, a oni mnie.

— Lepiej módl się, by twój Crom przyszedł nam z pomocą. Potrzebujemy tego.

Conan zamknął oczy i zaczął modlić się po raz pierwszy od dziesięcioleci:

— Ojcie Cromie, który tchniesz moc znoszenia cierpień i wolę walki w duszę człowieka w chwili jego narodzin, pomóż mi w walce z demonem, który porwał moją kobietę...

I w jego umyśle rozbrzmiały zimne słowa:

— Rzadko wysłuchuję modlitw, Conanie, lecz ty jesteś moim prawym synem w czynach, cierpieniu i usiłowaniach. Patrz!

Conan otworzył oczy. Dym zaczął rzednieć. Cymmerianin zobaczył, że lustro nie odbija postaci Peliasa. W rzeczywistości nie odbijało niczego. Jego powierzchnia była głęboko szara, jakby przemieniona w okno do zakazanych wymiarów. Pelias niskim, monotonnym głosem recytował zaklęcia. Conan rozpoznał sekretny język kapłanów Stygi .

Powoli, tak wolno, że prawie niezauważalnie, w lustrze zaczęło się coś pojawiać. Z początku obraz był zamazany i nierozpoznawalny, potem szybko sklarował się i wyostrzył. W komnacie o

gołych kamiennych ścianach, na niskim stołku siedziała postać odziana w płaszcz z kapturem, trzymająca w rękach jakiś zwój. Obraz powiększał się, jakby obserwator zbliżał się od tyłu. Nagle postać odwróciła głowę i spojrzała w ich twarze. Kaptur zsunął się z żółtej, bezwłosej czaszki odsłaniając zimno zmrużone, skośne oczy. Cienkie bezbarwne wargi rozchyliły się w upiornym uśmiechu. Żółta ręka zniknęła w fałdach szaty i wyciągnęła jaśniejącą kulę. Mężczyzna zrobił ruch, jakby zamierzał ją cisnąć... i wtedy Conan błyskawicznie przystąpił do działania.

Nadludzko szybki i silny cios miecza rozłupał ramę lustra i strzaskał błyszczącą powierzchnię na tysiące podzwaniających na posadzce kawałków.

Pelias drgnął i otrząsnął się jak ktoś gwałtownie wyrwany z głębokiego snu.

— Na Ishtar, Conanie, uratowałeś nas obu! — zawołał. — Ta świecąca kula była bardziej niebezpieczna niż gniazdo kobr. Gdyby zdołał ją wrzucić do naszej komnaty, zostalibyśmy rozerwani na strzępy w wybuchu, który zniszczyłby połowę miasta.

— Do diabła z tym — mruknął Conan, który nigdy nie nauczył się z wdziękiem przyjmować pochwał. — Mów, co to wszystko znaczy? Widziałem Khitajczyka. Jak on się ma do mojej sprawy?

Oczy Peliasa przeszły Cymmerianina ponurym spojrzeniem.

— Mój przyjacielu, ta sprawa jest gorsza, niż mi się zdawało — czarnoksiężnik umilkł i łąpczywie napił się wina. Potem opadł na poduszki i kontynuował:

— Magowie Zachodu od dawna byli świadomi, że pewne czary można osłabić albo całkiem je znieść. Ta umiejętność wyraźnie zaczęła narastać w ostatnich latach. Przez kilka minionych miesięcy zagłębiałem się w badaniach, próbując odkryć przyczynę tego fenomenu. I znalazłem ją.

Wchodzimy w nową erę. Postęp i oświecenie rozprzestrzeniają się wśród ludzi Zachodu. Aquilonia wiezie w tym prym wśród innych nacji, wzmacniając swą majestatyczną potęgę pierwotną siłą zdrowego barbarzyńskiego umysłu. Ty odmłodziłeś ten naród, a podobne rzeczy zachodzą i w innych królestwach. Więzy czarnej magi trzeszczą i pękają pod wpływem nowych mocy wyzwolonych przez zmieniony stan umysłów. Rozległa sieć intryg i zła, utkana przez czarne siły, staje się coraz słabsza.

Wiele złych czarów nie skutkuje we wszystkich zachodnich królestwach. Ta odporność na magię ciemności koncentruje się w osobie barbarzyńskiego władcy Aquilonii. Od dawna jesteś ośrodkiem potężnych wydarzeń, a bogowie patrzą na ciebie przychylnym okiem. I tak będzie, dopóki z kolejnym obrotem kosmicznego koła oświecenie nie zniknie, a czarna magia znów wzrośnie w siłę na początku nowego cyklu.

Jestem stary, o wiele starszy od najsędziwszych starców. W obliczu nowych dni używam swej rozległej wiedzy jedynie do uprzyjemniania sobie życia i prowadzenia badań. Nie żyję jak asceta w poszarpanych szatach, wzywający czerwonoookie istoty o zaślinionych paszczach i stalowych szponach, by czyniły spustoszenie wśród niewinnych ludzkich istot. Ale jest ktoś, kogo od dawna trawi żądza absolutnej władzy nad ziemią i wszystkimi jej mieszkańcami. Ktoś bez reszty opętany tą ideą. Przed laty zaczął kłaść podwaliny pod gigantyczne, katastrofalne akty mrocznej nekromancji, która ma zachwiać posadami ziemi i zniewolić wszystkich jej mieszkańców. Oto, czegom się dowiedział od mych nieziemskich szpiegów: kiedy pewnej nocy przy blasku księżyca twój wróg wyrwał żyjące serce z piersi dziewicy na ołtarzu przeklętej świątyni i wymruczał nad nim straszliwe zaklęcia, nie osiągnął pożądanego rezultatu. Był tym zdumiony, a była to jego pierwsza próba w zachodnim kraju.

Niepowodzenie wywołało w nim szaleńczy gniew. Przez wiele dni i nocy bez końca próbował dowiedzieć się, kto przyczynił się do jego porażki i w końcu odkrył, że to ty Conanie stanowią główną przeszkodę.

Mroczny plan, którego zarysy zaczynam pojmować, wart jest jego pokrętnego geniuszu.

Porywając twoją żonę zmusił cię do wyruszenia na poszukiwania. Jest przekonany, że zostaniesz zabity przez swoich wrogów w czasie drogi albo przez nieznanego lud żyjącego na wschód od Gór

Himeliańskich. A gdybyś przez jakiś bohaterski czyn lub dzięki wyjątkowemu szczęściu uniknął

tego losu, policzy się z tobą osobiście z pomocą swych diabolicznych mocy. Wtedy droga do jego podbojów stanie otworem, bowiem opór wykuty tu, na Zachodzie, jest jeszcze zbyt wątki bez swej największej podpory Conana, Króla Aquilonii! — Pelias napił się wina. — Jak wiesz — podjął —

jestem uważany za jednego z najpotężniejszych magów Zachodu, choć w tych nowych dniach

rzadko używam pełni swej mocy. Ale gdybym stawił czoło temu, o którym mówię, nie miałbym

więcej szans niż owca w sadzawce z krokodylami. Czarnoksiężnicy Wschodu są potężniejsi od tych z Zachodu, a on jest największy z nich wszystkich. To Yah Chieng z Pai-kangu w Khitai.

Conan miał ponure oczy i nieruchome rysy, gdy przemyślał te słowa. W końcu przemówił głębokim głosem:

— Na Croma, Peliasie, jeśli twe słowa są prawdą, na moich ramionach spoczywa brzemię większe, niż kiedykolwiek mogłem przypuszczać. Ale nie dbam o losy świata, jeśli w grę wchodzi życie Zenobi !

— Ach, przyjacielu, losy twoje, twej królowej i świata są silnie powiązane. Czekają nas znaczące wydarzenia. Wkrótce przechyli się szala przeznaczenia. Ten podstępny wąż Yah Chieng jest pewien, że zwycięży, w przeciwnym razie nie śmiałby próbować. To porwanie jest tylko sztuczką mającą na celu wywabienie cię z Zachodu, którego strzeżesz przed złymi mocami.

Pomyśl, człowieku i zważ! Co jest ważniejsze: jedna kobieta czy los milionów?

— Do diabła z tym, Peliasie! — ryknął Conan. — Czy myślisz, że pozwolę wydrzeć sobie kobietę, a potem zostanę w domu tylko dlatego, że jestem przeszkodą mającą uniemożliwić

zamierzenia jakiegoś czarnoksiężnika? Niech demony Shaggali wyżrą szpik z moich kości, jeśli choć trochę dbam o królestwo, władzę, ziemie czy bogactwa! Chcę odzyskać swoją kobietę i będę ją miał, nawet gdybym musiał wyciąć sobie drogę w szeregach stu tysięcy wojowników, by dotrzeć do tej łysej kanalii!

Pelias wzruszył ramionami. Podejrzewał, że ujawnione przez niego najgłębsze przyczyny niedawnych wypadków nie wywrą najmniejszego wpływu na dzikie pobudki kierujące poczynaniami barbarzyńcy. Jedynym światem, o który Conan dbał, był ten, który go otaczał i tętnił życiodajną krwią.

— Wiem — westchnął. — Przeznaczenie już utkało swoją sieć, a ja nie mogę tego zmienić.

Teraz, słuchaj. Twoim celem jest Paikang w Khitai. Tam w swojej purpurowej wieży mieszka Yah Chieng, strzeżony przez dwie setki rostrych, najwprawniejszych na całym Wschodzie khitajskich wojowników. Przywłaszczył sobie dziedzictwo prawowitych cesarzy i włada przy pomocy kańczuga i pałki. Strzeż się jednak jego czarnej sztuki. Machnięciem dłoni może zmieść z powierzchni ziemi armię. Nie wiem, czy zdołam ci pomóc, jednak spróbuję. Chodź ze mną!

Szczupły czarnoksiężnik wstał i podszedł do inkrustowanego złotem sekretarzyka. W

wyglądzie mebla było coś dziwnego, jak gdyby rzemieślnik, który go stworzył, nie był z ludzkiego rodu. Conana ogarnęła ciekawość. W czasie swych niezliczonych wędrówek nigdy nie widział czegoś podobnego. Pelias nacisnął przycisk ukryty wśród ozdób pokrywających nogę stolika i wysunęła się niewielka szuflada. Czarnoksiężnik wyjął z niej pierścień. Dziwnie wykuty, nie błyszczał ani ogniem złota, ani lodowym blaskiem srebra, ani też bogatą czerwienią miedzi.

Matowa, niebieska powierzchnia nie przypominała żadnego znanego metalu. Cała pokryta była hieroglifami. Conan pochylił głowę i wtedy rozpoznał zakazane symbole znajdujące jedynie pojedynczo we fryzach stygijskich ołtarzy. Pierścień zdobił równie dziwny kamień. Był w kształcie rombu z długimi i ostrymi szpicami. Ktoś mało ostrożny mógłby się łatwo skaleczyć. Pelias przez chwilę przyglądał się pierścieniowi. Dziwny, niebieski blask przypominał błysk lodowego miecza. Cymmerianin wyczuwał emanującą z niego moc. Potem czarnoksiężnik wyprostował się i odgarnął opadające na czoło siwe włosy.

— Wiele księżyców przemieniło się od czasu, gdy zdobyłem ten pierścień — zaczął śpiewnie.

— Przez wiele dni i nocy, bez chwili przerwy walczyłem z jego właścicielem, potężnym magiem z Luxuru. Rozpętane przez nas furie mrocznej mocy mogłyby spustoszyć cały kraj, gdyby nasze czary nie znosiły się wzajemnie. Z wirem w głowie i oszalałymi zmysłami zmagalem się z nim przez eony mrocznego czasu. Kiedy uczułem, że dalej nie podołam, on nagle ustąpił. Zmienił się w jastrzębia i próbował uciec. Siły do mnie wróciły. Przemieniłem się w orła, dopadłem go i rozdarłem na strzępy. Ha! Były to dni mojej młodości i pełni moich mocy!

Teraz, mój przyjacielu, chcę, abyś ty go nosił. Będzie ci służył wielką pomocą w podróży.

Słyszałeś o Rakhamonie?

Conan przytaknął. Południowe kraje aż kipiały od legend przeszłości, ale imię tego

przerażającego czarnoksiężnika nadal szeptano ze strachem, chociaż od jego śmierci minęło

półtora wieku. Hyrkańscy najeźdźcy złupili i spalili jego miasto, gdy ten leżał bezradny, pogrążony w odrętwieniu spowodowanym czarnym lotosem.

Wielu adeptów magi szukało potem jego tajemnych ksiąg, które, jak mówiono, zostały spisane na wyprawionych skórach odartych żywcem z dziewic, jednakże nikt ich nie znalazł. Jeśli ten pierścień naprawdę należał do Rakhamona, musiał być potężny.

— Tak, to pierścień Rakhamona — powiedział Pelias grobowym głosem. — Niektórych nadnaturalnych istot, raz wezwanych z mrocznych królestw, nie można utrzymać w ryzach z pomocą zwyczajnych ochronnych czarów. Dlatego Rakhamon wykuł pierścień z metalu, który wytopił z gwiazdy spadłej na lodowej Północy. Wyposażył ten pierścień w niewyobrażalną moc w trakcie tajemnych i nienazwanych rytuałów, kiedy krew lała się strumieniami, a wrzeszczące dusze zostały skazane na wieczne potępienie w najgłębszej i najczarniejszej otchłani. Wiem tyle, że człek noszący ten pierścień może stanąć przeciwko każdej bestii wezwanej magicznymi sztukami.

Nie mam pojęcia, jakie są jego inne właściwości. Prawdopodobnie wiedza ta zaginęła wraz z manuskryptami Rakhamona. Weź go, Conanie! To wszystko, czym mogę cię wspomóc. Wszystkie inne znane mi czary są bezsilne przeciwko mocy Yah Chienga.

Conan wziął ofiarowaną ozdobę. Z początku pierścień zdawał się zbyt mały na jego masywne palce, ale kiedy spróbował włożyć go na środkowy lewej ręki, wsunął się bez kłopotu. Zdawał się żyć własnym życiem i dopasował się jak robiony na zamówienie. Cymmerianin wzruszył ramionami. Dziesięciolecia doświadczeń sprawiły, że nie traktował magicznych przedmiotów poważnie. Ta błyskotka mogła się przydać, a jeśli nie, nie przyniesie mu żadnej szkody. Pelias przynajmniej miał dobre zamiary.

— Do diabła z całym tym gadaniem — powiedział barbarzyńca. — Czeka mnie długa podróż.

Bochen chleba, kawał mięsiwa, bukłak wina i idę spać. Czy mógłbyś użyczyć mi jakieś wyrko na tę noc?

— Każdy rodzaj łoża, jakiego sobie zażyczysz, przyjacielu. Moi słudzy przyniosą ci jedzenie i zaopiekują się twoim koniem — Pelias klasnął w dłonie.

— To mi przypomina — powiedział Conan ziewając — że przed wyruszeniem w dalszą drogę muszę ofiarować Cromowi wołu. Nie mów nic na ten temat, bo, jak znam ludzi, później będą gadać, że Conan na starość stał się dewotem!

## ZEMSTA Z PUSTYNI

Słońce błyskało na spiczastych hełmach i grotach włóczni. Ostrogi dzwoniły, a jasne jedwabie lśniły, gdy trzech zbrojnych jeźdźców wspinało się na zbocze wielkiej wydmy na rozległej pustyni w południowo-zachodnim Turanie. Ich hełmy otaczały czerwone turbany i takiej barwy szarfy

opasywały talie. Stroju dopełniały białe kaftany, szerokie spodnie z nogawkami wciśniętymi w cholewy czarnych butów oraz srebrne kolczugi bez rękawów. Zakrzywione miecze wisiały przy

biodrach. Z olster przy strzemionach dwóch żołnierzy wyrastały długie na dziesięć stóp turańskie lance. Trzeci miał u siodła mocny, podwójnie zakrzywiony łuk i dwa tuziny strzał w lakierowanym kołczanie.

Towarzyszyła im czwarta osoba, której ręce krępował sznur trzymany przez łucznika. Głęboka

bruzda wryta w piachu u podnóża skarpy mówiła, że jeniec nie zawsze nadażał za konnymi. Miał

na sobie biały burnus pustynnych Zuagirów, teraz brudny i podarty na strzępy. Jego pociągłe i ciemne policzki były zapadnięte z wyczerpania, jednakże w przekrwionych oczach gorzała

nieprzejednana nienawiść. Zataczając się i dysząc ciężko, bez słowa protestu czy jęku, wspinał się po zboczu.

Turańscy żołnierze, oddzieleni od reszty oddziału przez dwudniową burzę piaskową, szukali

drogi powrotnej do stancy Wakła, dalekiego turańskiego posterunku w pustynnym kraju

Zuagirów. Tego Zuagira napotkali poprzedniego dnia. Jego koń padł, gdy strzała przeszła mu

serce, a on sam osunął się bez zmysłów na piasek po ciosie drzewcem włóczni. Dowódca stancy Wakła ostatnio rozpoczął zażartą kampanię przeciwko pustynnym plemionom, które łupiły

turańskie karawany. Jeźdźcy prowadzili jeńca do Wakli, by przed powieszeniem wycisnąć z niego wszystko na temat jego szczepu.

Niewielki oddział zatrzymał się na szczycie wydmy, by chwilę odpocząć. Uniesiono bukłaki do

wyschniętych ust, podczas gdy obszarpany jeniec, ledwo żywy, wspinał się na czworakach.

Wydmy ciągnęły się po horyzont. Turańczycy, jak przystało na doświadczonych wojowników,

sokolim wzrokiem przepatrzyli pustynię. Wokół rozciągała się tylko bezkresna, żółta równina.

Najwyższy z trójki, człowiek z łukiem i sznurem, nagle zeszywniał. Oceniając ciemne oczy

szybko stanął w strzemionach. Na szczycie odległej o milę wydmy dostrzegł pędzącego galopem samotnego jeźdźca. Dotąd piaszczysty pagór przysłańiał go przed ich wzrokiem, lecz teraz obcy pędził po zwróconym ku nim zboczcu. Dowódca odwrócił się do swoich towarzyszy.

— Na alabastrowe biodra Yenagry! — zakrzyknął. — Mamy następnego pustynnego szczura!

Przygotujcie się. Tego zabijemy i zabierzemy jego głowę na lancy.

Wiedział, że po walce nie będzie miał kłopotów z odnalezieniem Zuagira, rzucił więc postronek w piach. Spiał wierzchowca i pocwałował w dół stoku do miejsca w szerokiej dolinie między wydmami gdzie powinien pojawić się nieznajomy. Jednym płynnym ruchem wyciągnął łuk i nałożył strzałę. Jego towarzysze podążyli za nim z opuszczonymi włóczniami, skowycząc jak zgraja psów na tropie ofiary.

Trzysta kroków dalej łucznik zwolnił strzałę w pełnym galopie, ze zręcznością urodzonego turańskiego kawalerzysty. Ale pocisk chybił celu. Niedoszła ofiara ściągnęła wodze z tak wielką siłą, że mało brakowało, a rumak przewaliłby się na ziemię. Potem szybkim ruchem nieznajomy rozchylił fałdy burnusa.

Turańczycy zatrzymali się skonsternowani. Ukazała się im nie na wpół zamorzona z pragnienia postać mieszkańca pustyni ale potężny wojownik z Zachodu w mocnej kolczudze i stalowym hełmie, uzbrojony w ciężki miecz, który błysnął w słońcu jak płomień, gdy jeździec dobył go szybkim ruchem. Wąskie oczy turańskiego dowódcy rozszerzyły się ze zdumienia.

— Ośmieliłeś się wrócić do Turanu, barbarzyński łotrze! — zawył Hamar Kur, dowódca oddziału rozgromionego przez Conana, wówczas przywódcę kozaków, w zasadzce nad rzeką Yelbą; W rezultacie Hamar Kur został zdegradowany do rangi podoficera nadgranicznej straży i od tej pory trawiła go żądza zemsty.

— Na niego, ludzie! To Conan–kozak! Ubijcie go, a cesarz napełni wasze hełmy złotem!

Turańscy jeźdźcy zawahali się, strwożeni wspomnieniem pełnych krwi i okrucieństwa legend łączących się z tym imieniem. Podania opisywały, jak ten człowiek, z dwoma tylko pirackimi okrętami, złupił i spalił ufortyfikowany port morski Khawarizm, a potem rozpoczął bitwę z



sześcioma cesarskimi galerami, pozostawiając trzy tonące, pokłady pozostałych zaś zmyte krwią.

Mówiły, jak z bandą zuagirskich wojowników nękał cesarskie strażnice na południu, póki granica nie została cofnięta. Mówiły, jak na czele dzikich kozackich hord napadł na otoczone murami miasto Khorosun, mordując i paląc je do cna.

Conan w pełni wykorzystał tę chwilę niezdecydowania. Spiął wielkiego ogiera ostrogami i rzucił się na żołnierzy niczym burza piaskowa, zataczając mieczem błyszczące kręgi.

Wierzchowiec Hamar Kura cofnął się przed tą miażdżącą szarżą i został obalony, wyrzucony z siodła jeździec zaś potoczył się po wydmie.

Dwaj pozostali żołnierze schylili lance i zaatakowali, ale zabrakło im czasu na osiągnięcie odpowiedniej prędkości. Conan rzucił się pomiędzy nich tnąc w prawo i lewo. Głowa jednego z napastników spadła w fontannie krwi. W następnej chwili ostrze Conana strzaskało lancę drugiego.

Turańczyk, który przyjął kolejny cios na tarczę, został wyrwany z siodła samą siłą uderzenia.

Hamar Kur pozbierał się szybko. Mając doświadczenie w walce przeciwko konnym, pobiegł do lancy upuszczonej przez zabitego żołnierza, a potem wepchnął drzewce między nogi wierzchowca Conana. Sam w ostatniej chwili rzucił się na bok, by uniknąć miecza barbarzyńcy. Chmura

pustynnego piasku przysłoniła słońce, gdy Conan i jego koń runęli na ziemię. Cymmerianin

uwolnił się od strzemion ze zręcznością wieloletniego najemnika. Wstał wciąż trzymając miecz w dłoni. Jego zimne, niebieskie oczy zmrużyły się, gdy obserwował zdolnych do walki wrogów.

Zachodzili go z dwóch stron. Ich taktyka była prosta. Chcieli wziąć go między siebie, żeby jeden mógł uderzyć od tyłu.

Conan z szybkością tygrysa skoczył na żołnierza z lewej. Wiedział, że ryzykuje cios w plecy szablą Hamar Kura, ale uznał, że ten nie będzie dość szybki. Zaatakowany Turańczyk próbował sparować, lecz daremnie. Miecz Conana złamał zakrzywione ostrze i nie zatrzymując się, rozłupał hełm i czaszkę jak dojrzałą pomarańczę.

Conan zawirował niczym pantera i w ostatniej chwili zdążył przyjąć świszczącą szablą Hamar

Kura na jelec miecza. Proste ostrze Zachodu i zakrzywione ze Wschodu zawirowały wokół siebie w tańcu śmierci. Chwilę potem szybki sztych Conana dosięgnął piersi wroga.

Czubek głowni przebił świetną turańską kolczugę i przeszył na wylot ciało byłego emira.

Hamar wrzasnął upiornie i ciężko osunął się do stóp Cymmerianina, który musiał zaprzeć się nogą o trupa, by wyciągnąć ociekające krwią ostrze.

Cymmerianin wytarł miecz o szarfę przepasującą ciało poległego i rozejrzał się szybko. Stał czujnie, gdy obszarpana postać na wpół zsunęła się, na wpół stoczyła po zboczu do jego stóp. Był to Zuagir. Stając na drżących nogach, splunął na rozpostarte na piasku ciało Hamara Kura, po czym zwrócił wzrok na Conana. Wściekłość i gniew w oczach Zuagira ustąpiły błyskawicznie rozpoznania i radości. Wznosząc spętane ręce, zawołał:

— Dzięki niech będą Kemoshowi za to, że odpowiedział na moje modły i sprowadził wielkiego wojownika, który lata temu wiódł nas na łupieżcze wyprawy! Witam cię, Jastrzębiu Pustyni! W wioskach rozpoczną się uczty i tańce! Turańskie psy skryją się w swoich wieżach, gdy znad pustyni nadleci okrzyk: „Yamad al–Apthę wrócił!”

Conan wzruszył ramionami i schował miecz do pochwy. Jego koń podniósł się, a Cymmerianin odtoczył bukłak i sakwę od siodła.

— Masz, wilku — burknął — wyglądasz na zmęczonego. Łyknij sobie, ale uważaj, żeby nie przesadzić — wyjął chleb, suszone mięso i podzielił się z Zuagirem. — Teraz powiedz mi, co robisz na piechotę na pustyni? Jak wpadłeś w ręce żołnierzy?

Nomad odpowiedział między łykami:

— Jestem Yar Al al ze szczepu Duali. Jechałem w pośpiechu i samotnie, gdy te psy mnie pojmały. Zastrzelili mi konia i ogłuszyli ciosem w głowę. Prowadzili mnie do Wakli na pewną śmierć.

— Dokąd śpieszyłeś? I dlaczego samotnie? Te wzgórza roją się od turańskich podjazdów.

Zuagir zatrzęsł się z wściekłości.

— Straszliwe nieszczęście spadło na nasze plemię. Słuchaj, panie. Przez wiele dni leżeliśmy w zasadzce w ruinach świątyni Gharat, pięćdziesiąt mil na południe. Dostaliśmy wieść, że z zachodu nadciąga bogata karawana, wioząca bogactwa i osobę szlachetnej Thanary.

— Któż to taki?

— Suka z Maypuru, słynna z urody i bogactwa. Stoi wysoko w łaskach u Yezdigerda.

Moglibyśmy ją pojmać, a wtedy nasze byłyby nie tylko łupy z karawany, ale i bajeczny okup.

Czekaliśmy zatem z naostrzonymi nożami i łukami o nowych cięciwach, aż w końcu zaczęliśmy

myśleć, że te kupieckie psy już nigdy nie przybędą. Ale następnego dnia usłyszeliśmy w oddali dzwonki wielbłądów. Niebawem pojawił się długi szereg ludzi, zwierząt i wozów.

Czekaliśmy, póki nie znaleźli się obok nas i rzuciliśmy się na nich z okrzykiem wojennym na ustach. Spodziewaliśmy się, że pokonanie kupców i ich sług będzie dziecinną igraszką. Lecz nagle kupcy i słudzy odrzucili burnusy. Zamiast niegroźnych pasibrzuchów zobaczyliśmy jeźdźców w białych turbanach Cesarskiej Straży!

Na wozach musiała ukrywać się ich co najmniej setka. Przeszli przez nasze szeregi niczym

zniwiarze przez pole pszenicy. Połowa moich poległa w pierwszym ataku. Reszta rozpadła się na małe gromadki. Walczyliśmy dzielnie i chociaż nie mieliśmy najmniejszych szans, wielu

Turańczyków padło z włócznią w gardle czy zakrzywionym nożem w brzuchu.

Ale nasza odwaga poszła na marne, gdyż ich żelazne szeregi naciskały na nas ze wszystkich stron. Zobaczyłem, jak mój brat pada pod ciosem szabli emira. Potem Yin Al al, mój ojciec,

otrzymał cios w głowę i osunął się z siodła bez zmysłów. Spiąłem konia i siekąc jak szalony

zdołałem się wyrwać i uciec. Ścigali mnie godzinami, ale ich konie były bardziej zdrożone i

musieli zaprzestać. Byłem w drodze do swego szczepu, gdy zostałem schwytany. A karawana jest już bezpieczna w murach stancy Wakła. Dziś wieczorem Turańczycy będą świętować. Od

dziesiątków lat nie udało im się pojmać żywcem wodza Zuagirów! — zakończył z goryczą.

— Skąd wiesz, że on żyje?

— Uciekając obejrzałem się i zobaczyłem, jak dwóch Turańczyków niesie go w kierunku wozów.

Conan przemyślał tę opowieść. Dobrze pamiętał Yina Al-lala, jednego ze swych

najwierniejszych sprzymierzeńców w czasach, gdy jako wódz zuagirskich plemion wiódł ich na

śmiałe wyprawy przeciwko Turańczykom. Nie mógł opuścić starego przyjaciela w potrzebie i

zostawić go na pastwę wrogów. W błękitnych oczach Cymmerianina rozbrzmiała determinacja.

— Złap sobie konia! — warknął. — Natychmiast ruszymy do oazy Duali. Będziemy tam o zmroku i jeśli moje imię nie zostało zapomniane, znów poderwę plemiona. Na Croma, uratuję swego starego przyjaciela!

Zaśmiał się chrapliwie, skoczył na siodło i pogalopował przez piaski.

Do oazy dotarli po zapadnięciu ciemności. Gwiazdy mrugały niczym diamenty na ciemnej opończy. Liście palm, poruszające się leniwie w lekkim wietrze, były osrebrzone zimną poświatą księżyca. W cieniach listowia wznosiły się namioty wielkiego obozu Zuagirów.

Za dnia, było to spokojne miejsce. Pustynne słońce wylewało swe złote promienie na dachy i ściany utkane z wielbłądziego włosa. Kobiety w czarczafach zajmowały się czerpaniem wody ze studni i gotowaniem strawy na obozowych ogniskach. Z namiotów dochodziło pochrapywanie mężczyzn zażywających sjesty. Teraz oaza Duali szemrała jak rój szerszeni. W środku obozowiska wznosił się namiot, którego wielkość i ozdoby kazały domyślać się siedziby wodza. Z tego namiotu od czasu do czasu wypadał Zuagir, który w rozwianym burnusie wskakiwał na siodło i galopem zniknął w mroku. Inni powracający z misji, zeskakiwali ze spienionych rumaków i spieszyli do głównego namiotu. Przez cały czas przybywali wojownicy z sąsiednich szczepów Kharoya i Qirlata. Do świtu w okolicy stało już trzy razy więcej namiotów niż poprzedniego wieczora. Za opuszczonymi kłapami wejściowymi prowadzono gorączkowe rozmowy.

W największym namiocie zgromadzili się brodaci wodzowie klanów. Serca im rosły z dumy i podziwu, gdy kierowali oczy na honorowe miejsce. Zajmował je olbrzym w kolczudze, który kilkanaście lat temu stał się żywą legendą. Zawdzięczali mu wiele. On zjednoczył ich zwaśnione rody i prowadził na wyprawy tak śmiałe, owocne i krwawe, że w dalszym ciągu opowiadano o tym przy obozowych ogniskach. Byli przesądni i w ich oczach powrót wielkiego Cymmerianina był dobrym omenem. Tę opinię potwierdzał fakt, że Conan pojawił się w chwili nieszczęścia, gdy jeden z najpotężniejszych wodzów popadł w niewolę. Powrót Jastrzębia Pustyni położył kres pomniejszonym, międzyplemiennym zatargom. W ciemnych oczach nomadów lśniło dzikie oczekiwanie.

— Stanica jest zbyt potężna, aby zaatakować ją wprost — mówił Conan. — Nie mamy katapult ani innych machin oblężniczych. Oblężenie musiałoby trwać nawet rok. Co więcej, wycieczka zdeterminowanych obrońców mogłaby rozbić nasze oddziały. Jedyna szansa to zetrzeć się z nimi w obrębie murów, wykorzystując przewagę liczebną. Trzeba użyć podstępów.

Wykorzystamy do tego łupy przechowywane w tej oazie. Pięćdziesięciu z nas, odzianych jak kupcy, niewolnicy, strażnicy i poganiacze wielbłądów, poprowadzi karawanę do stancy, niby po drodze do Kherdpuru. O północy rozprawią się z wartownikami przy bramie, otworzą ją i wpuszczą hordę. Naszym głównym celem są kwatery żołnierzy, oficerów i dom namiestnika.

Będziemy plądrować, palić i zabijać, póki ulice nie spłyną turańską krwią!

Cymmerianin wstał i trzasnął ręką w pochwę miecza.

— Do roboty, pustynne wilki! Przed wschodem słońca chcę mieć karawanę, i to taką, żeby każdemu zbójowi pociekła ślina!

Dźwięczały wielbłądzie dzwonki. Nogi ludzi i zwierząt wzbijały tumany kurzu, gdy długi szereg mijał bramę stancy Wakla. Chudy kupiec jadący na przedzie przystanął, by rozmówić się z dowódcą straży:

— Panie, jestem Zebah, Shemita z Anakii — rzekł. — Przybyłem z Yukkubu, by wymienić swe dobra w Kherdpurze.

— Kto to jest? — zapytał kapitan straży, wskazując na olbrzymiego człowieka otulonego w obszerny burnus. Chusta skrywała dolną część twarzy i widać było jedynie przeszywające błękitne oczy.

— To mój osobisty strażnik — wyjaśnił kupiec. — Stygijczyk. Inni są wynajętymi strażnikami, poganiaczami i niewolnikami. Na Ashtoretha, jak dobrze znów znaleźć się za bezpiecznymi murami! Obawiałem się ataku bandy Zuagirów. Co prawda moi ludzie są dobrze uzbrojeni, jak czcigodny kapitan sam może zobaczyć. Ale widać bogowie mieli nas w opiece, bo obyło się bez ataku tego śmierdzącego pustynnego robactwa.

Dowódca straży wyszczerzył zęby.

— Twa ostrożność była zbyt duża, dobry człowieku. Obecnie nawet samotna kobieta mogłaby przejechać bez przeszkód karawanowym szlakiem. Wczoraj oddział cesarskiej straży rozbił w puch zgraję pustynnych szczerów i pojmał ich naczelnika. Tylko jeden z tych psów zdołał ująć z życiem.

— Ach! — zakrzyknął Shemita. — Zaprawdę, to wspaniałe wieści!

— A wszystko to w jeden dzień. Ta nauczka powstrzyma ich napady na jakiś czas. Cesarz rozkazał nam zabijać każdego schwytanego Zuagira, mężczyznę, kobietę czy dziecko. Nim wrócisz do Yukkubu, bez obawy będziesz mógł przemierzać pustynię wzdłuż i w poprzek.

— Z wdzięczności zapalę kadzidło Belowi — powiedział kupiec, gdy ostatni z wielbłądów minął bramę. Czterej strażnicy skoczyli, by ją zamknąć. Okute żelazem wierzeje ze skrzypem obróciły się w zawiasach grubych jak męska noga. Masywne, żelazne rygle zatrzasnęły się z hukiem.

Prawdę mówiąc, stanica była małym miastem. Wysoki, kamienny mur z blankami opasywał duże skupisko budynków. Łucznicy bez przerwy czuwali na krępych basztach. Przestrzeń w obrębie murów była na tyle rozległa, że w plątaninie uliczek znajdowali środki utrzymania zarówno kupcy jak i złodzieje. Leżąca daleko od innych osad, stanica Wakła musiała zapewnić swoim mieszkańcom namiastkę cywilizowanego życia w postaci karczemu i domów rozpusty, aby żołnierze nie mieli powodów do narzekań.

Na głównym placu kłębili się uzbrojeni żołnierze w spiczastych hełmach, kupcy oferujący egzotyczne towary i zawoalowane kobiety. W powietrzu rozbrzmiewały krzyki przekupniów. Po jednej stronie rynku wznosił się potężny budynek, w którym mieszkał namiestnik. Miejsce to samo w sobie było fortecą o wąskich oknach i ciężkich drzwiach. Jednakże ci, którzy byli w środku twierdzili, że luksus wnętrza zaprzecza ponurej fasadzie.

Zapadł wieczór. Niebo pociemniało szybko i w oknach zapłonęły świece oraz lampy. Spoceni oberżyści wytaczali z piwnic beczki wina, oczekując wieczornego napływu klientów. Hazardziści wypraktykowanymi ruchami rzucali kości. Zaczynało się barwne życie turańskiego miasta.

Przy zachodnim murze, w miejscu przeznaczonym dla przejeżdżających karawan, wokół ogniska Conana wrzała ożywiona dyskusja. Prawie wszyscy domagali się, by zaczekać w bezpiecznym miejscu, bez wzbudzania podejrzeń, aż nadejdzie wyznaczona pora. Lecz Conan był innego zdania. Mając w zapasie dobre dwie godziny, chciał dowiedzieć się jak najwięcej o sile wroga. Już obejrzał leżące blisko głównej bramy kwatery oficerów i pospolitych żołnierzy, lecz nie wiedział jeszcze, gdzie jest reszta garnizonu.

— Oby demony wyrwały wam języki! — warknął. — Zrobię, co powiedziałem! W każdej karczmie znajdę dziesiątki pijanych żołnierzy. Od jednego z nich wydobędę potrzebną nam wiedzę, nawet gdybym musiał wyciskać ją z niego jak wodę z mokrej szmaty!

Żelazna wola Cymmerianina odrzuciła na bok obawy jego oponentów. Conan owinał się burnusem i odszedł, skrywając twarz pod kapturem. Nie było powodu, by narażać na ryzyko tak starannie obmyślany plan dając się rozpoznać jakiemuś Turańczykowi, obdarzonemu dobrą pamięcią.

Opary kwaśnego wina, starego piwa i potu uderzyły w nozdrza Conana, gdy przekroczył próg pierwszej napotkanej karczmy. Hulanka trwała na całego. Dziewki śmigały z kufłami pianistego piwa i dzbanami wina, podczas gdy wymalowane ladacznice wałkoniły się na kolanach na wpół pijanych żołnierzy, którzy opróżniali kubek za kubkiem i wołali o jeszcze. Wnętrze izby przypominało wszystkie zachodnie karczmy, chociaż przyodziewek obecnych był dużo bardziej kolorowy.

Wielki barbarzyńca znalazł sobie mały, samotny stolik w mrocznym kącie. Usiadł na trzeszczącym stołku i zamówił kufel piwa. Gasząc pragnienie powolnymi łykami, rozglądał się wokoło. Dwaj pijacy siłowali się na podłodze wśród wrzasków i chichotu kobiet. Napięte muskuły wężliły się pod ich smagłymi, spoconymi skórami. Przy sąsiednim stole grano w kości.

Połykujące monety i lśniące klejnoty wędrowały od kupki do kupki po grubo ciosanym, splamionym winem blacie stołu. Cymmerianin rozluźnił się.

— Dobre piwo, milczku?

Wśród trzasku wywracanych stołków, potężnie zbudowany żołnierz przepchnął się przez tłum, nie zwracając uwagi na steki wściekłych przekleństw. Osunął się na wolne miejsce przy stole Conana. Jego oczy były szkliste, a złocona kolczuga i jedwabna szarfa obficie zbryzgane winem. Oczy Conana zwężyły się. Mężczyzna był ubrany w szkarłatny płaszcz i biały turban straży cesarskiej. Turban wieńczyło pawie pióro, oznaka kapitana tej wyborowej jednostki. Bez wątpienia mężczyzna należał do oddziału, który rozbił Zuagirów i pojmał Yin Allala. Mógł być nawet dowódcą tej kompani. Nadarzała się okazja zesłana przez bogów i należało z niej skorzystać. Cymmerianin, udając serdeczność, pochylił się ku żołnierzowi, nadal skrywając twarz w cieniu kaptura.

— Przeszedłem ugasić pragnienie. — Wymierzył oficerowi przyjacielskiego kuksańca w ramię.

— Jestem w drodze do domu rozkoszy, gdzie kobiety są tak piękne i umiejętnie, że mogą rywalizować z kurtyzanami Shadizar!

Kapitan czknął, potrząsnął głową i z wysiłkiem skupił wzrok.

— Co? Kobiety? Dobry pomysł. A przy okazji, kim jesteś?

— Hotep z Khemi, strażnik przyboczny kupca Zebalta — rzekł Conan. — Chodź ze mną, człowieku! Odwiedziwszy to miejsce zaspokoisz swe pragnienia na miesiąc.

Conan nie był doświadczonym obłudnikiem. Jego przedstawienie z pewnością wzbudziłoby podejrzenia bystrego i trzeźwego człowieka. Na szczęście wypite wino nie pozostawiło w umyśle Turańczyka miejsca na nic innego, prócz najprymitywniejszych instynktów. Dysząc ciężko ze wzbudzonej żądz, pochylił się i beknął głośno.

— Prowadź, człowieku! Na tej przeklętej pustyni zbyt długo musiałem obywać się bez kobiety.

— Byłeś w oddziale, który wciągnął w zasadzkę Zuagirów?

— W oddziale? Dowodziłem nim!

— To dobrze o tobie świadczy!

— Tak, walka była zacna. Ale jedyną dziewczką w karawanie była szlachetna Thanara, niech bogowie osypią jej pyszne ciało czyrakami!



— Odmówiła ci?

— Gorzej! Trzasnęła mnie w pysk, gdy spróbowałem ją pocałować!

— Bezcelność! — zgodził się Conan.

— To nie wszystko. Nie uwierzysz, ale zagroziła, że jeśli nie zacznę sprawować się przystojnie, każe mnie wychłostać na wielkim placu w Aghrapur. Mnie, Ardashira z Akifu! Sprawować się! Jak gdyby prawdziwy mężczyzna o gorącej krwi mógł się powściągnąć na widok jej ciała!

— To karygodne, jak podle traktują nas kobiety.

— Dość tego! Wiedź mnie do domu rozkoszy, Stygijczyku. Potrzebuję chwili zapomnienia.

Turańczyk podniósł się chwiejnie i przepchnął przez tłum. Conan podążył za nim. Na ulicy w ich twarze uderzyło chłodne, nocne powietrze. Kapitan trzeźwiał z każdym krokiem.

Zaciekawiony, zerknął na wpół ukryte oblicze swego towarzysza, który bez słowa szedł u jego boku.

— Hej — powiedział — zaczekaj chwilę, mój przyjacielu! Nie opisałeś położenia tego

bajecznego domu kobiet, o którym nigdy nie słyszałem, chociaż znam Waklę jak własną kieszeń.

Zajrzyjmy pod twe zawoje...

Przemowę Ardashira ucięła potężna ręka, zaciskająca się na jego gardle. Nabrzmiące mięśnie o niewiarygodnej sile zdławiły dalsze słowa niczym imadło. Turańczyk uważany wśród swoich za

mocarza okazał się bezradny wobec nagłej napaści i gorylej siły Cymmerianina. Został szybko

zawleczony w ciemny zaułek, bez skutku walcząc o oddech i szarpiąc duszące go ręce. Kiedy tracił

przytomność, Conan szybko spętał go jego własną szarfą. Potem brutalnie przewrócony na plecy i ocucony, poczuł wwiercające się w niego oczy barbarzyńcy, który przemówił zimno:

— Pytałeś mnie o imię, wschodni psie! Słyszałeś o Conanie, zwanym przez Zuagirow Yamad al-Aptha? O wodzu kozaków i piratów z morza Vilayet?

Turańczyk mógł jedynie zacharczeć, gdyż zgniecione gardło odmówiło mu posłuszeństwa.

Conan kontynuował:

— Wróciłem z Zachodu i teraz wycisnę z ciebie prawdę, nawet gdybym musiał wypalić ci oczy

albo przypiec pięty!

Ardashira, mimo iż był twardym i odważnym człowiekiem, sparaliżował strach. Zwykłym przeciwnikom, takim jak bandy Zuagirow, Hyrkańczyków, żołnierze Koth czy Zamory, stawiał czoło z fatalistyczną odwagą zaprawionego w boju wojownika. Ale wobec tego barbarzyńskiego olbrzyma, klęczącego nad nim z uniesionym sztyletem, czuł tylko zabobonny lęk. Sagi o śmiałych wyprawach Amry przypisywały mu magiczne moce, aż w końcu zaczęto wymawiać jego imię tak, jak miano jakiegoś mitycznego demona.

Ardashir czuł, że groźby barbarzyńcy nie są bezpodstawne. Conan bez najmniejszych skrupułów poważyłby się na najbardziej bestialskie akty brutalności, byle tylko osiągnąć zamierzony cel. Jednakże to nie strach przed torturami, a porażająca świadomość tożsamości wroga rozwiązała Ardashirowi język. Przynaglając go od czasu do czasu ukłuciami sztyletu, Conan uzyskał wszystkie pożądane wieści. Garnizon Wakli w sile tysiąca dwustu koni stał w koszarach przy głównej bramie, podczas gdy żołnierze cesarskiej straży byli rozlokowani w mieście na tymczasowych kwaterach. Naczelnik Zuagirów, zakuty w łańcuchy, przebywał w lochach pod warownią namiestnika.

Conan zastanowił się nad sytuacją. Wiedział, że koszary otaczają kwadratowy plac ćwiczeń z pojedynczym wejściem. Pod rozkazami miał ponad dwa tysiące zdeterminowanych nomadów. W jego umyśle z wolna zarysował się plan ataku... Rzut oka na księżyc powiedział mu, że północ jest blisko. Sprawdził więzy na rękach i nogach jeńca, zakneblował go jego własnym turbanem, wciągnął głębiej w zaułek i zostawił go tam samemu sobie.

— Chyba robię się zbyt miękki — mruknął do siebie. — Był czas, gdy poderznąłbym gardło takiemu kundlowi. Ale Zuagirowie bez wątpienia nadrobią to, gdy tylko go znajdą...

Cichy, rytmiczny warkot bębenka wypełniał bogatą komnatę na piętrze pałacu namiestnika, w której na krytej jedwabiem otomanie leżała Thanara z Maypuru. Skubała leniwie winogrona leżące w misie na niskim stoliku. Jej przeźroczyta szata ujawniała urzekające uroki powabnego ciała, ale obecny w pokoju mężczyzna nie poświęcał mu najmniejszej uwagi.

Był to mały osobnik o pałakowatych nogach i cerze koloru błota, odziany w skóry i futra. Jego płaska, pomarszczona twarz, podobna do małpiej pomalowana była w czerwone i czarne pasy i koła. Długie, czarne włosy miał zebrane w tłuste warkocze, a jego szyję zdobił naszyjnik z ludzkich zębów. Otaczał go potężny smród przesiąkniętych potem skór i nie mytego ciała. Był to Tatur, czarownik pochodzący z plemienia dzikich nomadów, zamieszkującego tereny leżące daleko na północny wschód za morzem Vilayet.

Mały człowieczek siedział ze skrzyżowanymi nogami na podłodze i wlepił oczy w cienką smużkę dymu, która wznosiła się z czary stojącej na niskim trójnogu. Chwiejna, błękitna kolumna podnosiła się na dwie stopy, a potem falowała i zwijała w kręte arabeski. Mężczyzna, nie odrywając od nich oczu, uderzał czubkami palców w mały bębenek, który trzymał na kolanach. Wreszcie pośpieszny rytm ucichł.

— Co widzisz, Taturze? — zapytała kobieta.

— On nadchodzi — oznajmił szaman basowym głosem. — Ten, który cię szuka, jest blisko.

— Jak to możliwe?! — zapytała ostro szlachetna Thanara. — Namiestnik Veziz zdwoił strażę i żaden tak rzucający się w oczy bandyta nie zdołałby się przemknąć.

— A jednak nadchodzi — wyjęczał Tatur. — Duchy nie kłamią. Jeśli nie uciekniesz, wkrótce staniesz z nim twarzą w twarz.

— Zatem musiał wejść do Wakli w przebraniu — rzekła Thanara. — Czy twój pan, ten, którego imienia nie wolno wymawiać, pomoże mi stawić mu czoło? — w jej głosie zabrzmiała nuta paniki, a ręka wzniosła się mimowolnie do kształtnej szyi.

— Jego wolą jest, aby twa misja zakończyła się powodzeniem — oznajmił Wigur. Pogmerał pod połą płaszcza z owczej skóry i wyjął mały purpurowy flakonik. — Jedna kropla wlana do jego wina sprawi, że przez trzy dni będzie leżał jak martwy.

— To dobrze. Ale ten barbarzyńca jest czujny. Założmy, że odmówi wypicia wina?

Tatur wyjął kolejny przedmiot — małą sakiewkę z miękkiej skóry.

— W takim przypadku padnie bez zmysłów, gdy tylko to powącha.

— Co to jest?

— Pyłek żółtego lotosu z Khitai. Użyj go tylko w ostatecznym wypadku, ponieważ gdyby

demon powietrza skierował go z powrotem na ciebie, ty również popadniesz w omdlenie. Zbyt głęboki oddech może nawet zabić.

— To jest dobre, ale nie wystarczające. Jeżeli twój pan naprawdę spodziewa się, że stawię czoło Cymmerianinowi, powinien zaopatrzyć mnie w środki, które pozwoliłyby mi uciec w wypadku, gdybym została złapana. Inni mogą nie doceniać Cymmerianina, ale ja tego nie zrobię. I twój pan jest mi to winien za minione przysługi.

Lekki uśmiech zmarszczył porytą bruzdami twarz Tatura.

— Ten, którego imienia nie wolno wymawiać, powiedział prawdę, że trudno się z tobą targować. Masz — wyjął przedmiot przypominający przejrzyste jajo. — Zbij je w godzinie potrzeby, a pomoc nadejdzie z innych wymiarów.

Thanara obejrzała trzy przedmioty.

— Dobrze — powiedziała w końcu. — Jedź do Aghrapur i powiedz cesarzowi, że czekam tu na Conana. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, będzie miał głowę swojego wroga. Jeżeli nie, będzie potrzebował nowej nałożnicy. Spiesz się i żegnaj!

Kilka minut później szaman Tatur na małym, kudłatym hyrkańskim kucyku, ruszył truchtem przez piaski pustyni.

Noc była chłodna i cicha. Dowódca straży przy głównej bramie przeciągnął się i ziewnął. Z małej wartowni przed bramą widział dwóch łuczników patrolujących blanki nad wrotami. Niżej para włóczników przy filarach po bokach bramy stała wyprostowana i nieruchoma. Światło księżycy odbijało się od ich kolczug i hełmów. Nie było powodów do obaw. Jedno uderzenie w gong mogło wezwać kompanię z koszar. Niemniej jednak namiestnik rozkazał podwoić straże i zwiększyć czujność.

Oficer zastanowił się. Czyżby czcigodny Veziz naprawdę obawiał się ataku na stanicę w celu odbicia uwięzionego wodza Zuagirów? Niech tylko te pustynne szczury przyjdą! Rozbijaliby sobie łby o mury, podczas gdy łucznicy dziurawiliby ich niczym rzeszota. Najwyraźniej namiestnik się

starzeje i zaczyna bać własnego cienia.

Chmury przysłoniły tarczę księżyca. Akeb Man zamrugał i spojrzał na bramę. Wydało mu się, że dwaj łucznicy na murze przysiedli na chwilę. Teraz jednakże wstali i podjęli wędrówkę wzdłuż blanków. Postanowił sprawdzić tych leniwych diabłów. Zapewni im trzy godziny ostrych ćwiczeń w pustynnym słońcu, jeżeli będą się lenić przy wypełnianiu swoich obowiązków.

Kapitan wstał i przed otwarciem drzwi jeszcze raz się rozejrzył. W tej chwili księżyc zajaśniał z pełną siłą i Akeb Man zobaczył wstrząsający widok. Zamiast spiczastych hełmów i płaszczy, łucznicy mieli turbany i burnusy.

Zuagirowie!

Tylko demony wiedziały, jak tu się dostali. Akeb Man porwał pałkę, wiszącą obok gongu, żeby uderzyć na alarm.

Drzwi wartowni z hukiem stanęły otworem i w środku zawirował tuman drzazg i kurzu. Akeb Man odwrócił się i sięgnął do szabli, ale widok stojącego naprzeciw człowieka sprawił, że stanął jak wryty. Nie był to odziany w biel jeździec pustyni, lecz olbrzymi przybysz z Zachodu w czarnej kolczudze i z nagim mieczem w dłoni.

Z okrzykiem wściekłości i strachu Turańczyk wyprowadził niskie cięcie, które miało rozplatać brzuch intruza.

Olbrzym zrobił błyskawiczny unik, po czym opuścił własny miecz, tnąc ze świstem. Krew trysnęła fontanną, a Akeb Man osunął się na podłogę, z głową rozciętą po szyję.

Conan nie tracił czasu na rozkoszowanie się zwycięstwem. W każdej chwili jakiś zaciekawiony strażnik mógł wytknąć głowę przez okno w koszarach albo też mógł pojawić się jakiś spóźniony przechodzień. Wielkie, okute żelazem wrota zostały otwarte i do stancy zaczęły wlewać się szybki i milczący strumień obleczonych w biel nomadów.

Conan bez zwłoki wydał rozkazy. Mówił po cichu, ale jego słowa docierały do wszystkich uszu:

— Dwaj ludzie z pochodniami, podpalić koszary. Trzystu łuczników zająć pozycje przed

wyjściem i kosić wybiegających żołnierzy. Reszta może palić i zabijać, brać łupy i jeńców, jakich tylko chcecie. Ale trzymajcie się razem. Nie rozdzielajcie się na grupy mniejsze niż dwudziestu ludzi. Thabit, zabierz swoich pięćdziesięciu i ruszaj za mną. Idę do pałacu namiestnika.

Władczym gestem odprawił przywódców klanów i skinął na wyznaczonych pięćdziesięciu

Zuagirów, którzy truchtem podążyli za nim. Dymiące pochodnie oświetliły plac, gdy podpalacze popędzili w stronę żołnierskich kwater. Inne bandy rozbiegły się po ulicach. Chudzi nomadowie, oblizując usta w oczekiwaniu grabieży i zemsty, skryli się szybko w mroku. Groty strzał na

napiętych cięciwach, ostrza noży i włócznie połyskiwały złowróźnie w poświacie księżyca.

Conan powiódł swoich ludzi prosto do celu. Najpierw zamierzał uratować Yin Allalę.

Intrygowała go również piękna nieznajoma. Tutaj, pomyślał, może znajdzie zdobycz, która zadowoli jego smak. Piękne kobiety zawsze były jedną z jego słabości, a opowieść Ardashira rozpałała wyobraźnię barbarzyńcy. Przyspieszył, badając wzrokiem okoliczne zaułki.

Gdy zbliżyli się do pałacu, Conan zaklął ponuro. Przed portalem rezydencji chodzili czterej strażnicy. Liczył, że zdoła wziąć siedzibę namiestnika przez zaskoczenie, ale nie było to możliwe.

Bez zbędnych słów uniósł wielki miecz i rzucił się na wartowników. Jeden z włóczników poległ, nim pozostali zdążyli pozbierać myśli. Ludzie Conana, nie mogąc nadążyć za nim, zostali

dwadzieścia kroków z tyłu.

Conan dzikim zamachem miecza sparował pchnięcie włócznią i podstępny sztychem nadział drugiego przeciwnika na długą głównię. Turańczyk rozpostarł ramiona i z gardłowym rżeniem

padł pod nogi trzeciego żołnierza. Jego szabla mierząca w głowę Conana, minęła się z celem i wykrzesła iskry z kamieni. W następnej chwili dwaj ostatni wartownicy zostali przeszyty

strzałami. Cymmerianin skoczył do wielkich miedzianych drzwi i spróbował je otworzyć. Bez skutku.

Odgłosy walki sprawiły, że w pobliskich oknach pojawiły się liczne twarze. Ktoś zaczął wołać łuczników.

Drzwi ustąpiły pod kolejnym uderzeniem jego potężnego barku. Conan zostawił przy nich dziesięciu ludzi i poprowadził pozostałych do środka.

Ze szczękiem kolczug i wśród błysków ostrzy rzuciło się na nich dziesięciu żołnierzy w białych turbanach straży cesarskiej. Cymmeriański okrzyk wojenny zawibrował w powietrzu. Wiele zakrzywionych noży błyskawicznie znalazło drogę do turańskich wnętrzności, ale połyskujące

szable również zebrały krwawe żniwo. Najwięcej śmierci zadał jednak prosty miecz Conana, gdy Cymmerianin kilkoma morderczymi ciosami wyrąbał sobie drogę przez szyk przeciwników. Po chwili dziesięciu Turańczyków legło w kałużach krwi, a osiem trupów w skrwawionych burnusach świadczyło o zaciekłości obrony.

Conan ruszył na piętro, pokonując po cztery stopnie na raz. Wiedział, że tutaj mieszczą się komnaty namiestnika. Zatrzymał się na chwilę i odwrócił się do swoich ludzi.

— Dziesięciu niech szuka kluczy do lochów, żeby uwolnić Yin Al ala. Reszta, brać łupy, jakie zdołacie unieść. Ja złożę wizytę namiestnikowi.

Gdy Zuagirowie z wyciem i śmiechem rzucili się na schody, Conan potężnym kopniakiem wyłamał drzwi z sandałowego drewna. Znalazł się w przedpokoju. Ruszył prędko dalej i nagle zatrzymał się w pół kroku. Usłyszał dobiegający zza kolejnych drzwi kobiecy głos, wysoki i pełen złośliwej wymówki.

Conan ściągnął brwi. Podniósł stojący tu stół i cisnął nim w nową przeszkodę. Niezgrabny pocisk uderzył w drzwi i otworzył je z hukiem. Conan odkopnął resztki strzaskanego mebla i wszedł do środka.

Na środku oświetlonej lampą komnaty stał wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna w średnim wieku. Conan z opisu poznał namiestnika Veziza. Za nim na zarzuconej kobiercami podłodze stała kryta jedwabiem otomana i stół z dzbanem wina oraz dwoma pełnymi pucharami.

Na otomanie spoczywała kobieta. W jej szerokich ciemnych oczach nie było śladu lęku, gdy patrzyła na wdzierającego się do komnaty barbarzyńcę. Conan drgnął. To była dziewczyna, która w Khanyrii prawie doprowadziła do jego śmierci!

Jednakże nie był to czas odpowiedni na zastanawianie się nad takimi rzeczami. Z przekleństwem na ustach, namiestnik wyszarpnął z pochwy zdobioną klejnotami szablę i kocim krokiem zbliżył się do Cymmerianina.

— Śmiałeś wdrzeć się do mych komnat, ty łotrze o czerwonych rękach! — warknął. —

Słyszałem, że znów włóczysz się po okolicy i miałem nadzieję, że nie minie mnie przyjemność wydania rozkazu, by rozszarpały cię dzikie konie. Lecz skoro tu jesteś, zaszczycę cię śmiercią z mojej własnej ręki — puścił w ruch szablę. Większość ludzi byłaby tak rozproszona jego

przemową, że pozwoliłaby przeciąć sobie gardło, ale nie Conan. Parując jęczmieniem, wyprowadził zdradliwe kontruderzenie.

Po szybkiej wymianie ciosów i sztychów Cymmerianin poznał, że ma do czynienia z jednym z najwytrawniejszych szermierzy, jakich spotkał w życiu.

Lecz żaden cywilizowany fechtmistrz nie mógł się równać z umiejętnościami Conana, od wieku chłopięcego zahartowanego w bojach przeciwko wojownikom całego świata. W dodatku Cymmerianin zachował błyskawiczną szybkość i krzepę pierwotnego barbarzyńcy, nie zmiękzonego przez wygody cywilizacji.

Wkrótce namiestnik Veziz zaczął się męczyć, a w jego oczach rozbłysł paniczny strach. Nagle krzyknął, rzucił szablą w twarz Conana i podbiegł do przeciwległej ściany. Zaczął macać jej powierzchnię, jak gdyby szukając sprężyny otwierającej ukryte przejście.

Conan uchylił się przed pociskiem. W następnej chwili jego ręka owinęła szyję turańskiego wielmoży, a kolano wbiło się w jego plecy. Chrapliwym głosem wyszeptał mu do ucha:

— Psie, pamiętasz, jak złapałeś dziesięciu moich Afghulisów, kiedy dowodziłeś oddziałem w Secunderamie? I jak przysłałeś mi ich zapeklowane w słojach głowy, z życzeniami smacznego posiłku? Nadeszła twoja pora. Zgnij w piekle! Cymmerianin ze straszliwą siłą wygiął ciało wroga w tył, aż kręgosłup Turańczyka trzasnął mu na kolanie jak sucha gałąź. Drgające ciało osunęło się na podłogę, zaś spocony i zadyszany Conan odwrócił się do leżącej na otomanie kobiety.

Thanara nie poruszyła się w czasie walki. Teraz wstała, uniosła ramiona i bez obawy, z błyszczącymi oczami ruszyła w kierunku Cymmerianina, nie bacząc na miecz w jego dłoni. Krew zawrzała w żyłach barbarzyńcy na widok jej ponętnych kształtów.

— Jesteś prawdziwym mężczyzną! — wyszeptała, tuląc się do szorstkiej kolczugi i oplatając ramionami jego potężny kark. — Nikt inny nie zdołałby zabić Veziza. Cieszę się, że to zrobiłeś.

Pogrózkami zmusił mnie do wykonywania swych rozkazów.

Conan poczuł żar pędzącej krwi. W młodości po prostu wzięłyby tę kobietę w ramiona, ale teraz dała o sobie znać ostrożność wynikająca z długiego doświadczenia.



— Byłaś odziana inaczej, gdyśmy spotkali się w Khanyrii — warknął, po czym ujął jej oba nadgarstki w swoją potężną dłoń i zdecydowanym ruchem posadził Thanarę na otomanie. —

Opowiedz mi, jak to było z tą zasadzką i twoim w niej udziałem. Nie kłam, jeżeli dbasz o własną skórę!

Ciemne oczy spojrzały na niego spod długich rzęs bez strachu. Pięknie ukształtowana ręka delikatnie uwolniła się z jego dłoni i sięgnęła po jeden z pucharów na stole. Podała kielich barbarzyńcy, a sama zaczęła popijać z drugiego. Jej poczynania cechowała pewność siebie pięknej i inteligentnej kobiety.

— Musisz być spragniony po walce. Napij się wina, najlepszego z prywatnych piwnic Veziza.

Pij, a ja powiem ci, o co prosisz.

Gdy Conan zajrzał do kielicha, Thanara zaczęła melodyjnym głosem:

— Jestem Thanara, szlachcianka z Maypuru. Cesarz Yezdigerd łaskawie mianował mnie swymi oczami i uszami, jak nazywamy szpiegów w Turanie. Kiedy przybyły wieści, że wyprawileś się w tę samotną podróż, zostałam wysłana, by nadzorować głupich zbirów skaptowanych przez naszego człowieka w Tarancji. Przypuszczam...

Conan z wściekłością cisnął puchar na podłogę. Powąchał wino i posmakował odrobinę językiem, a jego wyczulone podniebienie powiedziało mu, że już raz wypił podobną miksturę.

Brutalnie wplótł potężną dłoń w długie, czarne włosy kobiety.

— Ja cię dopilnuję, ladacznico! — ryknął. — Myślałem...

Thanara wyciągnęła rękę zza pleców i rzuciła mu w twarz garścią pyłku żółtego lotosu. Conan szarpnął się w tył, kaszląc i parszcząc. Puścił włosy Thanary. Ona, wstrzymując oddech, wymknęła się z jego rąk i odskoczyła.

Conan kichnął potężnie, po czym padł jak długi na otomanę.

Thanara z satysfakcją pokiwała głową. Przez następne dwa czy trzy dni barbarzyńca będzie leżał jak martwy. Teraz trzeba było przystąpić do dzieła.

Jej uwagę przyciągnął narastający na zewnątrz pomruk. Podeszła do okna i odciągnęła kotary.

Rzuciła się w tył na widok, który ukazał się jej oczom. Domy stały w płomieniach, podpalane przez szalejącą horde Zuagirów. Wrzaski pojmanych kobiet i przekleństwa walczących mężczyzn

odbijały się echem od murów. Wszędzie przemykały białe, upiorne postacie. Nie było widać żołnierzy. Najwyraźniej Conan wkroczył do stancy nie sam, jak myślała, ale w towarzystwie pustynnych wilków. Nie straciła głowy, lecz szybko obmyśliła plan uratowania siebie i wykonania rozkazów cesarza. Złapała białą szatę ze skrzyni, przywdziała ją szybko. Uzbroidła się w długi sztylet o złoczonej rękojeści. Potem odciągnęła na bok przełamane drzwi o wytrzeszczonych oczach i odnalazła sprężynę otwierającą sekretne drzwi.

Część ściany ze zgrzytem odchyliła się do wewnątrz, odsłaniając wiodące w dół spiralne schody. Thanara podeszła do nieprzytomnego Conana. Złapała go pod pachy i napinając mięśnie do granic możliwości, zawlokła go do sekretnych drzwi, po czym ułożyła Cymmerianina na stopniach. Leżał nieruchomo, chrapiąc jak śpiący niedźwiedź.

Thanara zamknęła przejście i zbiegła po schodach oświetlonych nikłym blaskiem przesączającym się przez wąskie szczeliny. Schody kończyły się w małej, kolistej komorze.

Wyjście otwierało się w taki sam sposób jak wejście do ukrytego korytarza. Wcisnęła przycisk i wysunęła się na zewnątrz, sprawdzwszy wprzód, w jaki sposób ma dostać się z powrotem.

W stancy panowało istne piekło. Zuagirowie wytaczali na ulice beczki z winem i upijali się szybko, z niefrasobliwą bezmyślnością prymitywnych nomadów nie nawykłych do cywilizowanego picia. Roześmiani mężczyźni z pochodniami podpalali po kolei wszystkie domy.

Gromady pojmanych, na wpół nagich kobiet, gnane biczami kierowały się do głównej bramy.

W koszarach trwała okropna rzeź. Zapędzeni w kozi róg żołnierze, przepchnąwszy się do jedyne go wyjścia, napotykali grad strzał czekających na nich zuagirskich łuczników. Turańczycy oślepieni dymem i jeszcze otępiali po raptownym wyrwaniu ze snu nie mieli żadnych szans. Setki naszpikowanych strzałami ciał leżały w stertach wokół płonących koszar, zaś zwęglone zwłoki w rumowisku wskazywały, że wielu żołnierzy znalazło śmierć w płomieniach. W płątaniu uliczek stancy bandy pijanych krwią i winem nomadów nadal ściagały niedobitki cesarskiej straży. Od dziesiątków lat żadna z turańskich warowni nie miała do czynienia z takim krwawym napadem.

Thanara, nawykła do życia w surowych okolicznościach, pewnie pędziła przez ciemne ulice.

Drogę oświetlały liczne jęzory ognia z płonących domostw. Nie zważając na leżące wszędzie trupy, wtapiała się w mrok, ilekroć dostrzegła zbliżającą się bandę wrzeszczących Zuagirów,

którzy wymachiwali zdobycznymi kosztownościami i gnali swoje branki. Mijając wylot wąskiego zaułka, usłyszała zduszony charkot. Zerknęła tam i zobaczyła rozpostartą na ziemi postać związanego oficera straży cesarskiej. Wbiegła w wąską uliczkę, pochyliła się i wyciągnęła knebel z ust mężczyzny. Natychmiast poznała Ardashira z Akifu. Przecięła mu więzy i ruchem ręki kazała podążyć za sobą. Przykładając palec do ust, uciszyła cisnące mu się na usta pytania. Ardashir, kierowany nawykiem starego żołnierza, wykonał jej rozkaz bez szemrania. Powrót do pałacu namiestnika przebiegł bez przeszkód. Pijane bandy obładowane łupami wycofywały się już z fortu. Jednakże raz Turańczycy natknęli się na dwóch pijanych Zuagirów, którzy wymachując niezdarnie zakrzywionymi nożami, nie mieli szans w starciu z szybkimi cięciami szabli Ardashira.

Pozostawiwszy za sobą skrwawione ciała, dwoje niedobitków bez kłopotu wróciło do pałacu.

Weszli do środka sekretnym wejściem. Ardashir podążył za Thanarą do miejsca, w którym leżał Conan. Rozpoznawszy swego wroga, z przekleństwem uniósł szablę. Thanara powstrzymała jego rękę.

— Opamiętaj się! Czyżbyś nie wiedział, że cesarz nagrodzi nas złotem, gdy dostarczymy mu barbarzyńcę żywcem?

Ardashir cierpko zaproponował, co cesarz Yezdigerd może zrobić ze swoim złotem.

— Ta świnia zbrukała mój honor! — zawołał. — Ja...

— Powściągnij język, głupcze! Co z tobą będzie, gdy Yezdigerd dowie się, że straciłeś całą kompanię swych cennych strażników, a sam wykaraskałeś się nawet bez zadrapania?

— Hmm — mruknął Ardashir. Furia go opuściła, ustępując miejsca zimnej kalkulacji.

Thanara kuła żelazo, póki gorące:

— Najzręczniejsi oprawcy króla będą musieli na naradzie obmyślać tortury wystarczająco

piekielne, aby ten diabeł odpokutował za nieszczęścia, jakich przysporzył Turanowi. Opamiętaj się, człowieku! Czy poświęcisz bogactwo i generalski turban za chwilę osobistej zemsty?

Ardashir, pomrukujący gniewnie, ale już spokojniej, schował broń do pochwy i pomógł dziewczynie dokładnie skrępować barbarzyńcę.

— Zaczekamy do świtu — oznajmiła Thanara. — Do tego czasu zuagirskie bandy już odejdą, a

wtedy znajdziemy jakieś konie. Ci pijani głupcy na pewno parę przeoczyli. Jeżeli nie damy wierzchowcom wytchnienia, do południa znajdziemy się w bezpiecznym miejscu. Tutaj zaopatrzymy się w potrzebne zapasy. Pojedziemy prosto do stolicy, a w drodze znów uśpiemy naszego jeńca, by zachowywał się spokojnie. Za pięć dni zostanie osadzony w najgłębszym lochu Aghrapur!

Jej ciemne oczy zabłyśły triumfalnie, gdy popatrzyła na bezwładne ciało Cymmerianina.

# IV

## PAŁAC NA KLIFIE

Conan Cymmerianin powoli wracał do przytomności. W głowie mu ‘wirowało, żołądek

skręcały mdłości, a gardło miał suche jak pieprz. Pamiętał tylko to, że siedział na otomanie w siedzibie namiestnika stancji Wakla. Teraz stwierdził, że znajduje się w obrębie ociekających wodą ścian. Usłyszał pisk szczurów. Powoli przekręcił się i usiadł na legowisku ze zgniłej słomy.

Gdy się poruszył, zadźwięczały łańcuchy łączące okowy na jego nadgarstkach i kostkach z osadzoną w murze masywną, spiżową klamrą. Potężne ciało barbarzyńcy okrywała jedynie przepaska na biodrach.

Miał wrażenie, że głowa zaraz mu pęknie. Język przykleił mu się do podniebienia, a wygłodzony żołądek domagał się swoich praw. Mimo bólu przeszywającego mu czaszkę, podniósł głos do ryku:

— Hej, straż! Czy pozwolicie, bym szezł z głodu i pragnienia? Przynieście jedzenie i picie!

Co to za nora?!

Rozległ się stukot stóp i podzwanianie kluczy. Po drugiej stronie żelaznej kraty, która tarasowała wejście do celi, pojawił się brzuchaty, zarośnięty strażnik.

— A więc pies z Zachodu przebudził się wreszcie! Wiedz, że jesteś w lochach pałacu cesarza Yezdigerda w Aghrapur. Masz tu jedzenie i wodę. Musisz dobrze napchać sobie brzuch, by docenić serdeczne przyjęcie, jakie zgotował ci mój pan.

Dozorca wcisnął przez kratę bochenek chleba, dzban wody i odszedł. Jego rechot ucichł w głębi korytarza.

Umierający z głodu Cymmerianin jak wilk rzucił się na jedzenie i picie. Przeżuwał wielkie pajdy czerstwego chleba, popijając je potężnymi łykami wody. Przynajmniej nie musiał obawiać się

trucizny, bowiem gdyby cesarz chciał go uśmiercić od ręki, zrobiłby to z łatwością wtedy, gdy leżał nieprzytomny.

Potem Conan zastanowił się nad swoim położeniem. Znajdował się w rękach swego najbardziej

nieprzejednanego wroga. W dawnych czasach cesarz Yezdigerd wyznaczył za jego głowę bajeczną nagrodę. W efekcie doszło do wielu zamachów. Sam Cymmerianin zabił kilku niedoszłych zabójców. Zapieczęta nienawiść w sercu Yezdigerda nie zelżała nawet wtedy, gdy jego wróg zasiadł na tronie dalekiej Aquiloni. Teraz, w wyniku podstępnej intrygi pięknej kobiety, Conan znalazł się na łasce swego bezlitosnego nieprzyjaciela. Każdy zwyczajny człowiek byłby sparaliżowany tak okropną perspektywą, ale Conan z barbarzyńską flegmą akceptując rzeczy takimi, jakimi były, już rozważał plany wyrwania się na wolność i wyrównania rachunków z żadnym zemsty wrogiem.

Oczy barbarzyńcy zwięzły się, gdy w korytarzu zabrzmiał łoskot podkutych butów.

Padła chrapliwa komenda i kroki ucichły. Przez kratę Cymmerianin zobaczył dziesięciu strażników z obnażonymi szablami w dłoniach. Połączone kolczugi połyskiwały w chwiejnym świetle pochodni. Dwóch następnych trzymało w pogotowiu ciężkie łuki. Do przodu wysunął się wysoki oficer. Conan poznał Ardashira, który odezwał się ostrym, urywanym głosem:

— Shapur i Vardan! Zwiążcie barbarzyńcę i zarzućcie mu pętlę na szyję! Łucznicy!

Przygotujcie się, by zapobiec jakiemuś fortelowi!

Żołnierze wysunęli się do przodu, by wykonać rozkaz. Jeden niósł długą na kilka stóp i grubą na piędź drewnianą kłodę, drugi mocną linę. Ardashir odwrócił się do Cymmerianina.

Oczy Turańczyka płonęły ze złości, a palce zaciskały kurczowo na rękojeści broni. Tylko żelazna siła woli dobrze wyszkolonego oficera trzymała go w ryzach.

— Jeden fałszywy ruch, barbarzyński psie — wysyczał — a twoje serce pozna celność moich łuczników! Z rozkoszą zabiłbym cię własnoręcznie, ale jesteś przeznaczony dla samego cesarza.

Lodowatobłękitne oczy Cymmerianina patrzyły obojętnie na szalejącego oficera, podczas gdy żołnierze umocowali kłodę na jego ramionach i przywiązywali do niej ręce. Conan naprężył potężne ramiona tak, że w chwili wiązania sznur napiął się do granic możliwości. Dozorca zdjął mu kajdany, a Conan mruknął:

— Wy, turańskie psy, prędzej czy później dostaniecie to, na co zasługujecie.

Twarz Ardashira wykrzywiła się z wściekłości.

— A ty dostaniesz swoje, łajdaku o czerwonych dłoniach! — odszczeknął. — Żadna

wymyślona przez ludzki umysł tortura nie będzie zbyt okrutna, a wkrótce zajmą się tobą królewscy oprawcy — przenikliwy śmiech zdradził jego histeryczny nastrój. — Ale dość gadania! Za mną, wasza wysokość robaczywej Aquilonii! — skinął na strażników i wszyscy pomaszerowali wilgotnym korytarzem. Związany barbarzyńca szedł w środku, targając na ramionach ciężką kłodę. Zachowywał zimną krew. Wcześniej wiele razy bywał w podobnej matni i zawsze udawało mu się wyjść bez szwanku. Był jak schwytyany w pułapkę wilk, czujny i bez przerwy wypatrujący szansy na odwrócenie sytuacji. Nie tracił czasu ani na zastanawianie się nad znikomymi szansami, ani na daremne przeklinanie swoich wrogów, ani na wymówki za chwilę zaniedbania, która zaowocowała popadnięciem w niewolę. Jego umysł był skoncentrowany tylko na tym, co uczynić, by odzyskać wolność.

Weszli na prowadzące w górę kręte schody. Skoro nikt nie przysłonił mu oczu, Conan zapamiętywał każdy szczegół. Lochy królewskiego pałacu leżały głęboko poniżej powierzchni.

Musieli przejść kilka pięter, na których stali uzbrojeni po zęby strażnicy.

Dwa razy Conan ujrzał świat zewnętrzny, gdy mijali wąskie okienka. Szare niebo świadczyło, że jest pora świtu, albo zmierzchu. Teraz zrozumiał tajemniczy pomruk, który docierał do jego uszu. Pałac znajdował się na przedmieściach Aghrapur, na urwisku zwróconym ku Morzu Vilayet.

Lochy zostały wyrąbane w litej skale, u której stóp burzyły się fale.

Sam pałac był zdumiewająco wielki. W drodze przechodzili przez niezliczone komnaty z fontannami wysadzanymi klejnotami. Egzotyczne kwiaty przesycaly powietrze ciężkim aromatem. Niekiedy ich kroki odbijały się od ścian, innym razem były stłumione przez bogate kobierce i draperie. Wszędzie stali uzbrojeni żołnierze o nieruchomych twarzach i czujnych oczach. Wokół w pełnym blasku kwitł splendor Wschodu. W końcu zatrzymali się przed podwójnymi, wykutymi w złocie drzwiami. Mierzyły one pełnych pięćdziesiąt stóp wysokości, ich górna część ginęła w mroku. Tajemnicze arabeski wiły się wężowo po ich powierzchni, na której przedstawiono smoki, herosów i czarnoksiężników z hyrkańskich legend. Ardashir rękojeścią szabli uderzył w złote płyty.

W odpowiedzi olbrzymie odrzwia otwarły się powoli. Do uszu Conana dotarł niski pomruk zebranych za nimi osób.

Sala tronowa była rozleglejsza od wszystkich, jakie Conan widział w swoim życiu, wspanialsza od okazałych komnat Ophiru i Nemedi oraz pełnych dymu hal Asgardu i Vanaheimu. Potężne marmurowe kolumny wznosiły się strzeliście ku sklepieniu odległemu niczym niebo. Niezliczone lampy i kandelabry oświetlały bezcenne draperie, malowidła i kilimy. Za tronem wznosiły się okna z barwionego szkła, zamknięte już przed zapadającą nocą.

Salę wypełniał barwnie ubrany tłum. Zebrało się tutaj co najmniej tysiąc osób. Byli Nemedycyzy w kaftanach, obcisłych spodniach i skórzanych butach; Ophiryjczycy w obszernych płaszczach; krępi, czarnobrodzi Shemici w jedwabnych chałatach; Vendhiańczycy w wielkich turbanach, posłowie z czarnych królestw dalekiego Południa w barbarzyńskich strojach. Był nawet samotny, jasnowłosy wojownik z Dalekiej Północy w czarnej tunice, patrzący ponuro przed siebie i zaciskający dłonie na rękojeści ciężkiego miecza wspartego okuciem pochwy o posadzkę.

Jedni przybyli tu, by znaleźć schronienie przed gniewem swoich władców, drudzy jako donosiciele i zdrajcy rodzinnych krajów, a jeszcze inni jako posłowie. Zachłanny Yezdigerd nigdy nie był zadowolony z wielkości rozrastającego się cesarstwa. Liczne i zdrażliwe były sposoby, za pomocą których starał się powiększyć.

Grzmot złotych trąb odbił się echem od ogromnych ścian. Rojny tłum utworzył szpaler i eskorta Conana znów ruszyła. Na razie odległość od podwyższenia, na którym stał tron, była nazbyt wielka, by rozpoznać zgromadzone tam osoby.

Conan płonął z ciekawości. Chociaż w przeszłości wiele razy walczył z tym wschodnim despota, jako wódz wojenny Zuagirów, admirał piratów z Morza Vilayet, przywódca himeliańskich górali i jako kozacki hetman, jeszcze nigdy nie widział swego nieprzejednanego wroga. Patrzył tylko na postać na złotym tronie.

I dlatego nie zauważył rozszerzających się ze zdumienia oczu jasnowłosego olbrzyma.

Zaciśnięte na mieczu potężne kłykcie pobielwały, gdy enigmatyczne spojrzenie wojownika podążyło za oddalającym się Cymmerianinem.



Cesarz Yezdigerd był smagłym, potężnie zbudowanym człowiekiem z krótką czarną brodą i cienkimi, okrutnymi ustami. Chociaż rozpusta przydała mu worków pod błyszczącymi oczami, a zmarszczki poznały jego surowe i ponure oblicze o dziesięć lat za wcześnie, ciało o twardych mięśniach świadczyło, że folgowanie sobie nie pozbawiło go jeszcze młodzieńczej żywotności.

Yezdigerd, błyskotliwy strateg i nienasycony łupieżca, więcej niż dwa razy powiększył królestwo, które odziedziczył po swym zniewieściałym ojcu Yildizie. Ściągał daniny z miast — państw Brythuni i wschodniego Shemu. Jego niezrównana konnica pokonywała armie takich dalekich narodów jak Stygia i Hyperborea. Przebiegły król Zamory, Mithridates, musiał podzielić się swymi zachodnimi prowincjami i utrzymywał się na tronie tylko za cenę płaszczenia przed swym potężnym sąsiadem.

Przybrany we wspaniałe jedwabie i złotogłowie cesarz kołysał się na połyskującym tronie z pozorną niedbałością odpoczywającej pantery. Po jego prawej stronie siedziała kobieta. Conan poczuł, jak serce przyśpiesza mu na jej widok. Thanara! Jej zmysłowe ciało spowijały uwodzicielskie szaty turańskiej damy wysokiego rodu. W bujnych czarnych włosach lśnił wysadzany diamentami diadem. Jej oczy nie odrywały się od twarzy skrupowanego i bezbronnego jeńca. Wraz z resztą skupionych wokół tronu dworaków parsknęła śmiechem w odpowiedzi na jakiś ponury żart cesarza.

Oddział zatrzymał się przed podwyższeniem. W oczach Yezdigerda zapłonęła triumfalna radość. Wreszcie miał w swojej mocy człowieka, który wycinał jego żołnierzy, palił miasta i grabił jego okręty. Zawrzała w nim żądza zemsty, ale trzymał się w korbach. Strażnicy uklękli i dotknęli czołami marmurowej posadzki.

Conan nie oddał pokłonu. W błękitnych oczach barbarzyńcy gorzał lodowaty ogień. Stał wyprostowany, a każdy cal jego ciała wyrażał wyzwanie i pogardę. Był prawie nagi, jednakże nadal przyciągał uwagę wszystkich promieniującą z niego aurą siły. Zebrani szeptem dzielili się opowieściami o jego legendarnych wyczynach. Wielu znało go pod innymi, budzącymi grozę imionami w swych własnych odległych krainach.

Czując napinający się sznur, Ardashir podniósł głowę. Czarna wściekłość przyćmiła jego twarz, gdy

zobaczył tak jawne lekceważenie dworskiej etykiety. Szarpnął mocno za linę, zaciskając pętlę na szyi Conana. Mniejszy człowiek byłby się przewrócił, ale Conan stał pewnie jak skała.

Masywne mięśnie na jego karku nabrzmiały, broniąc krtań przed zduszeniem. I nagle barbarzyńca pochylił się i wyprostował, szarpiąc linę do tyłu. Ardashir rozciągnął się jak długi na marmurowej posadzce.

— Nie złożę hołdu żadnemu turańskiemu psu! — ryk Conana zadudnił jak grzmot. —

Prowadzisz swoje wojny z pomocą kobiet! Czy sam już nie radzisz sobie z mieczem? Pokażę ci, jak walczy prawdziwy mężczyzna!

W czasie tej krótkiej przemowy Conan rozluźnił napięte mięśnie ramion, więc krępujące je sznury poluzowały się nieco. Wyciągając ręce, złapał czubkami palców lewej koniec bala.

Błyskawicznym szarpnięciem wysunął prawe ramię z pętli i przerzucił kłodę przed siebie. Potem równie szybko oswobodził drugą rękę.

Ardashir zerwał się na nogi i rzucił nań, wyciągając szablę. Conan zakręcił balem młynka i z trzaskiem trafił w hełm Turańczyka. Oficer zawirował bezwładnie jak szmaciana lalka i runął na posadzkę.

Wszyscy znieruchomieli, zaskoczeni tym najwyraźniej magicznym wyczynem. Conan,

kierowany instynktem barbarzyńcy, nie omieszkał wykorzystać chwili przewagi. Jeden koniec

bala wystrzelił w powietrze i trafił najbliższego strażnika w twarz. Mężczyzna został odrzucony do tyłu, a struga krwi zmyła potrzaskane kości. Conan obrócił się jak błyskawica i cisnął kłodę w grupę strażników po drugiej stronie. Żołnierze, którzy właśnie podnosili się z wiernopoddanego pokłonu, zwalili się na bezładny stos.

Gibko niczym lampart Conan skoczył do przodu i porwał szablę upuszczoną przez

nieprzytomnego Ardashira. Paru dworaków próbowało uniemożliwić mu dotarcie do tronu

Yezdigerda, lecz Cymmerianin skosił ich jednym ciosem i wbiegł po stopniach wyniesienia.

Cesarz wstał, dobywając szabli. Klejnoty na rękojeści rozbłysły, gdy Yezdigerd wznosił ostrze, by sparować straszliwe cięcie spadające na jego głowę. Siła ciosu była tak wielka, że broń króla pękła na dwoje. Szabla Conana przecięła liczne zwoje śnieżnobiałego turbanu i wygięła stalowy hełm, który cesarz nosił pod spodem. Chociaż Conanowi nie udało się rozłupać czaszki Turańczyka, ten ogluszony runął na oparcie tronu i wywrócił się razem z nim do tyłu. Dalej wraz z tronem stoczył

się po schodach prosto na nadbiegających gwardzistów. Ogarnięty bitewną gorączką Conan chciał

skoczyć za cesarzem i dokończyć rozpoczęte dzieło. Ale ramiona wiernych żołnierzy wyciągnęły Yezdigerda z opresji, a ostrza mieczy i włócznie ze wszystkich stron wymierzyły w prawie nagie ciało Cymmerianina. Szabla Conana zaczęła tkać wokół ochronną sieć stali. Przechodził samego siebie w błyskotliwej, niezrównanej szermierce. Mimo pobytu w lochach i kaca po zadanym mu

narkotyku, był w doskonałej formie. Wiedział, że jeśli śmierć mu pisana, to umrze z orężem w dłoni, mordując ze śmiechem na ustach, i wyrabując sobie miejsce w Krainie Bohaterów.

Zawirował w radosnym szaleństwie. Szybkie cięcie odrzuciło jednego z przeciwników z wyprutymi wnętrznościami. Błyskawiczny sztych wniknął przez ogniwa kolczugi w serce innego

Turańczyka. Dźgał, ciął, siekał, siejąc wokół siebie przerażające spustoszenie. Szalejąc jak wściekły słoń na chwilę oczyścił podest z żołnierzy i dworaków, z wyjątkiem tych, którzy padli martwi u jego stóp.

Pozostała jedynie szlachetna Thanara, skamieniała na swoim krześle. Conan z chrapliwym śmiechem zdarł jej z głowy diamentowy diadem, złapał kobietę za kark i rzucił w tłum kłębiący się poniżej.

Żołnierze ruszyli znowu ze wszystkich stron, ich włócznie i tarcze utworzyły najeżony grotami mur.

Posłowie i dworzanie stali w grupach w dalszych częściach sali tronowej, obserwując z fascynacją nieziemski pojedynek. Conan naprężył mięśnie, zamachnął się szablą i ryknął gromkim śmiechem. Krew spływała po jego nagim ciele z powierzchniowych ran na głowie, ramionach, piersiach i nogach. Był otoczony i nie chroniła go żadna zbroja, więc nawet jego prędkość i siła nie mogły go uratować. Nie kłopotał się perspektywą rychłej śmierci. Chciał tylko zabrać ze sobą w ciemność jak najwięcej wrogów.

Wtem na tyłach walczących rozległ się szczeł stali. Bluzgnęła krew, a w powietrzu błysnął długi miecz przybysza z Północy. Olbrzymi wojownik wyrąbał sobie drogę przez zbrojne szeregi, pozostawiając za sobą trzy skrwawione ciała. Za moment wybił się potężnie i wskoczył na podwyższenie. W lewym ręku trzymał dwie okrągłe tarcze z brązu i skóry, zebrane z posadzki, gdzie upuściły je ofiary pierwszej szarzy Conana.

— Trzymaj! — zawołał jasnowłosy, rzucając jedną tarczę Cymmerianinowi. Ich spojrzenia spotkały się.

— Rolf! — krzyknął Conan. — Co tu robisz, stary polarny niedźwiedziu?

— Powiem ci później! — odparł wojownik, unosząc drugą tarczę. — Znaczy, o ile przeżyjemy.

Jestem gotów walczyć i umrzeć wraz z tobą.

Niespodziewane pojawienie się tego budzącego grozę sprzymierzeńca podniosło Conana na duchu.

— Chodźcie, szakale! — zaszydził, wymachując skrwawioną szablą. — Kto następny chce wysłać swą duszę do piekła? Atakujcie, przekłęci, albo my zejdziemy do was!

Przysłonięte stałą szeregi turańskich żołnierzy zatrzymały się, formując kwadrat wokół podestu.

Dwaj potężni barbarzyńcy stanęli plecami do siebie — jeden czarnowłosa i prawie nagi, drugi odziany w czerń blondyn. Wyglądali niczym dwa królewskie tygrysy otoczone przez bojaźliwych łowców, z których żaden nie śmiał pierwszy zadać ciosu.

— Łucznicy! — krzyknął oficer dowodzący turańskimi żołnierzami. Gestem nakazał zrobić miejsce dla strzelców.

— Mają nas! — warknął Rolf. — Bez kolczug nie ustoimy długo. Ach, cóż, było miło, ale się skończyło...

— Nie całkiem — powiedział Conan. — Widzisz te okna? Oto plan... — wyszeptał parę szybkich słów do ucha kamrata, który w odpowiedzi kiwnął głową. Potem dwaj wojownicy runęli do przodu, a ich ostrza zamigotały z szybkością atakujących węży.

Dwaj gwardziści osunęli się na podłogę w kałuże własnej krwi, a inni cofnęli przed tym szaleńczym atakiem.

— Za mną, Rolf. Jeszcze okpimy tych psów! — wrzasnął Conan, tnąc w prawo i lewo.

Ostrza barbarzyńców wycięły krwawą drogę. Wielki wojownik, strzegący pleców Conana, ścinał Turańczyków jak żeniec kłosa zboża. Cymmerianin parł do przodu, a Rolf podążał za nim.

Miecz Aesira rozszerzał krwawą ścieżkę otwartą przez Cymmerianina. Dudniącym basem Rolf

wykrzykiwał dźwięczne strofy starych, północnych pieśni bojowych, a w jego oczach błyszczało bitewne szaleństwo.

Nikt nie mógł zdzierżyć ich straszliwej szarzy. Turańskie miecze i włócznie bezsilnie ześlizgiwały się z tarcz, nie czyniąc najmniejszej szkody dwóm wojownikom, którzy z szybkością panter umykali swoim wrogom. Conan krwawił z dziesiątków ran, przydzwiewek Rolfa był w strzępach, lecz piętrzące się na posadzce ciała były niemymi świadectwami skuteczności ich desperackiego ataku. Potem oparli się plecami o jedno z wielkich okien. Na moment wpadli w szaleńczą furję, wymachując skrwawionymi ostrzami, by oczyścić przed sobą kilka stóp wolnej przestrzeni. Zwarty szereg żołnierzy cofnął się na chwilę. W zabobonnych oczach Turańczyków obaj barbarzyńcy stali się niepokonanymi demonami wywołanymi z ciemnych królestw, by wyrzeć okropną zemstę.

Conan wykorzystał tę chwilę bez najmniejszej zwłoki. Szkło rozprysło się na tysiące błyszczących, wielobarwnych kawałków pod ciosem jego szabli. W oknie powstała wielka wyrwa.

Cymmerianin i jego towarzysz z Północy cisnęli swoje tarcze oraz broń w twarze wrogów i skoczyli w morze dudniące dwieście stóp niżej. Do uszu dobiegających żołnierzy dotarł tylko ich szydery śmiech.

— Łucznicy! Strzelać, szybko, szybko! — głos oficera rwał się z rozpacz. Pięciu ludzi, każdy z potężnym, podwójnie wygiętym hyrkańskim łukiem bojowym podbiegło do okna i wkrótce zaśpiewały cięciwy. Po chwili jeden z łuczników wrzucił ramionami i odwrócił się do oficera.

— Odległość jest za wielka, a światło zbyt słabe. Nie widzimy nawet ich głów.

Oficer zgrzytnął zębami i pomaszerował do komnaty cesarza. Yezdigerd już otrząsnął się z szoku. Jedynym znakiem świadczącym o jego przejściach był bandaż częściowo zakryty turbanem. Uderzenie pięścią w stół przerwało zwięzły raport dotyczący przebiegu wypadków.

Wazy i puchary z winem poleciały na podłogę.

— Jak śmiałeś zawieść! Ci barbarzyńcy uciekli i okryli hańbą majestat Turanu! Czy moi żołnierze są oseskami, skoro nie potrafią położyć dwóch ludzi? Jutro rano co dziesiąty członek straży zostanie stracony. Może to tchnie odwagę w serca pozostałych!

Po chwili podjął niskim głosem:

— Dopatrz, by natychmiast przygotowano do drogi dwie wojenne galery. Barbarzyńcy z

pewnością spróbują ukraść łódź i przebyć morze. Musimy ich doścignąć. Sprawdź, czy okręty są dobrze zaopatrzone i obsadzone przez najlepszych żeglarzy i żołnierzy. Posadź przy wiosłach

najtęższych niewolników. Kiedy złapię tych psów, tysiąc razy poznają agonię śmierci w salach tortur Aghrapur! — wybuchnął śmiechem, ożywiony tą ponurą perspektywą i władczym gestem

polecił oficerowi odejść. Ten wybiegł, by wykonać rozkazy swego pana.

Khorsu-rybak siedział na burcie swej łodzi cierpliwie naprawiając sieć porwaną tego

popołudnia przez olbrzymiego jesiotra. Przeklinał swój pech, bowiem była to jego jedyna sieć.

Kosztowała go dwie sztuki złota i obietnicę pięćdziesięciu funtów ryb dla shemickiego kupca, od którego ją kupił. Ale jakież miał wyjście biedny, przymierający głodem rybak? Musiał mieć sieci, by utrzymać się z morza.

Gdybyż jednak były to jedyne rzeczy potrzebne jemu i jego rodzinie! Musiał harować, by

zapłacić wyznaczone przez cesarza podatki. Spojrzał z daremną nienawiścią na pałac, biały na tle rozświetlonego blaskiem księżyca nieba, przycupnięty na klifie niczym olbrzymi sęp z marmuru i złota. Królewscy poborcy nosili tęgie bicze i nie mieli najmniejszych skrupułów w ich używaniu.

Pręgi i stare blizny na plecach Khorsu mówiły o razach, jakie zbierał, gdy na mieliznach brakowało ryb.

Nagle łódź zakolebała się gwałtownie. Khorsu zerwał się przerażony, oczy nieomal wyskoczyły

mu z orbit. Na pokład wspiął się ogromny, prawie nagi mężczyzna, jego ciemne, prosto obcięte włosy były potargane i ociekały wodą. Khorsu pomyślał, że to morski demon, zły mieszkaniec

morza, który wynurzył się z nieznanych głębi, by porwać jego duszę i pożreć ciało.

Przez chwilę zjawa po prostu siedziała w kucki, głęboko wciągając powietrze. Potem

przemówiła po turańsku, chociaż z obcym akcentem. Rybak poczuł się nieco pewniej, bowiem

podania prawily, iż demony nie posługują się ludzką mową. Jednakże nadal dygotał ze strachu

przed spojrzeniem pałających oczu i groźną postawą giganta. Przeważenie rybaka wzrosło, gdy za pierwszym pojawił się drugi olbrzym, odziany w czerń złotowłosy mężczyzna ze sztyletem u pasa.

— Nie bój się, żeglarzu! — zadudnił czarnowłosy. — Nie chcemy twojej krwi, jedynie twą łódź

— zza opaski na biodrach wyjął skrzący się diadem i wyciągnął rękę w stronę rybaka. — Oto nielicha zapłata. Możesz za to kupić nową. Zgadzasz się, czy?... — znacząco przesunął palcem po gardle.

Khorsu, z mętlikiem w głowie, skinął skwapliwie i chwycił diadem. Z chęcią przestraszonej myszy czmychnął do małej dłubanki zacumowanej na rufie i odpłynął, gorączkowo tłukąc wodę wiosłami. Jego dziwni klienci nie tracili czasu. Żagiel szybko wznósł się na maszt i wybrzuszył w nocnej bryzie. Łódź nabrała prędkości, kierując się na wschód. Khorsu, zaintrygowany, wzruszył ramionami. Na chwilę odłożył wiosła, by obejrzeć niewiarygodny diadem, którego klejnoty połyskiwały w świetle księżyca niczym kaskada białego ognia.

## MORZE KRWI

Wiał silny wiatr. Wyjące podmuchy porywały z fal drobiny soli i ciskały je w twarze żeglarzy.

Conan wciągnął w potężną pierś głęboki oddech, rozkoszując się radosnym uczuciem wolności. W głowie tłoczyły mu się wspomnienia. Rozpamiętywał czasy, gdy jako przywódca piratów z Vilayet orał morze mieczami i obracał w ruinę turańskie porty.

Vilayet było zdominowane przez szybkie, wojenne galery Turanu. Wolnym handlem zajmowali się co śmielsi kupcy z mniejszych krajów na północno — wschodnim wybrzeżu, ale przeprawa

przez niespokojne fale była najeżona niebezpieczeństwami. Turańscy kapitanowie nie

potrzebowali wojny, by zdobywać cudzoziemskie statki, grabieje, i topić do woli. Wy tłumaczenie było proste: „pogwałcenie interesów cesarza Turanu”.

Poza chciwą flotą wojenną Turanu czyhało na kupców inne, równie groźne niebezpieczeństwo:

piraci!

Pstra horda zbiegłych niewolników, morderców, złodziei i awanturników, wszystkich

obdarzonych jednaką żądzą złota i pogardą dla ludzkiego życia, jak szalona roiła się na wodach tego wielkiego, śródlądowego morza. Sprawiali oni, że nawet wyprawy handlowe pod eskortą

turańskich galer były ryzykowne. Ich tajemne porty leżały w labiryntach wysp na południu i

wschodzie.

Wewnętrzne konflikty, ku zadowoleniu władcy Turanu, często zmniejszały ich siłę, dopóki nie

pojawił się wśród nich barbarzyńca o błękitnych oczach i kruczonych włosach. Conan rozprawił się ze skłóconymi kapitanami, po czym ujął władzę we własne ręce. Zjednoczył piratów i wykuł z nich przerażającą broń wymierzoną w serce Turanu. Cymmerianin uśmiechnął się na wspomnienie

czasów, kiedy jego imię było przekleństwem w portach Vilayet, a w nadmorskich świątyniach

modlono się o jego śmierć i odprawiano czary mające przyprawić go o zgubę.

Łódź była zwrotna i solidnie zbudowana. Jej ostry dziób ciął wodę niczym szablą, a pojedynczy żagiel pęczniał w podmuchach wiatru. Conan przypuszczał, że osiągną prędkość większą, niż

turańskie okręty. Jednakże gdyby bryza ucichła, mieliby duży kłopot. Nie było szans na



dorównanie galerze, napędzanej przez zaprawionych wioślarzy. Lecz na razie wiatr był silny, a zręczne ręce Rolfa pewnie sterowały stateczkiem, wyciskając z niego wszystko co się da.

Aesir snuł długą opowieść o włóczęgach i przygodach, które doprowadziły go do Aghrapur.

— ... i tak znalazłem się tutaj, jako uciekinier ze swego rodzinnego Asgardu.

— Czemuś się do mnie przyłączył? — zapytał Conan. — Wiodło ci się nieźle na turańskim dworze.

Rolf skrzywił się urażony.

— Czy myślisz, że zapomniałem, jak uratowałeś mi życie w bitwie z Hyperborejczykami w Górach Graaskal?

Conan wyszczerzył zęby.

— Zrobiłem to? Po tak wielu bitwach zaczynam tracić pamięć... — ocienił oczy i rozejrzał się po niczym nie zmaconej lini horyzontu. — Nie wątpię, że przynajmniej dwie wojenne galery

Yezdigerda depcą nam po piętach — rzekł ponuro. — Ten łajdak musi rwać się do zemsty. Wątpię, czy kiedykolwiek zapomni, jak wytargaliśmy go za brodę.

— Prawda — mruknął Rolf. — Mam nadzieję, że wiatr się utrzyma, w przeciwnym razie przyjdzie nam zmierzyć się z galerami.

Conan zastanawiał się już nad czymś innym.

— W czasach, gdy stałem na czele Czerwonego Bractwa, te właśnie wody były najodpowiedniejsze do polowania na okręt kupiecki z Sultanapuru czy Khawarizmu. W pobliżu powinny być zatem jakieś pirackie okręty — jego orle oczy nie przestawały myszkować po nieskończonym błękitie morza. Wtem zeszywniał jak lew na widok ofiary i wskazał ręką za rufę.

— Rolf, mamy towarzystwo! Te żółte żagle mogą oznaczać tylko piratów! Chyba powinniśmy zrzucić własne i czekać. Jak będą chcieli, mogą dopędzić nas wpół godziny!

Nie spuszczać oka ze zbliżającego się okrętu, czekał, spokojny i nieruchomy.

Niebawem Cymmerianin z przyjemnością wsłuchał się w równy skrzyp wiosel w dulkach,

pojękiwanie olinowania i krzyki bosmana. Z rozkoszą chłonał zapach smoły. Byli już w odległości rzutu oszczepem od smukłej, żaglowej galery, której żółty żagiel błyszczał w płomieniach popołudniowego słońca. Na czubku masztu trzepotała bandera Bractwa.

Conan i Rolf chwycili za wiosła i ruszyli ku pirackiemu okrętowi. Nad burtą widniał szereg głów. Wiele było smagłych, w kolorowych chustach na czołach. Niektóre czupryny przykrywały wschodnie turbany, inne stalowe bądź brązowe hełmy. Kilka było wygolonych z wyjątkiem loku na ciemieniu. Zimne, okrutne oczy czujnie przyglądały się dwóm nieznanym. Łódź przybiła do burty wielkiego okrętu. Zrzucano linę. Conan i Rolf wspięli się ze zwinnością doświadczonych żeglarzy. Skoczyli na pokład i stanęli w środku półkola zaciekawionych piratów. Wszyscy naraz zaczęli wykrzykiwać pytania. Conan rozpoznał kilku, którzy pływali z nim w dawnych czasach.

— Nie poznajecie mnie, wilki?! — warknął. — Czy wasza pamięć jest tak krótka, że trzeba wam przypominać moje imię, czy też oczy zaćmiły się wam z wiekiem?

Kilku członków pstrej zbieraniny cofnęło się, blednąc z wrażenia. Jeden, blady jak chusta wyjęczał:

— Duch, na Tarima! Niech nas Erlik chroni! Nasz stary admirał, wrócił z grobu! — posiwiały pirat był otrzaskanym w bitwach weteranem, ale teraz patrzył na Conana z oczywistym przerażeniem. — Zginąłeś wiele lat temu, kiedy wampiry z Gór Colchiańskich napadły na twoją załogę uciekającą przed Turańczykami po zemście na Arabanie z Shahpuru. Odejdź, duchu, albo wszyscy będziemy przekłeci.

Conan roześmiał się grzmiąco, bijąc się z uciechy po udach. Potem wyrwał sztylet zza pasa Rolfa i cisnął go w pokład tak, że czub wbił się głęboko w deski, a rękojeść zawibrowała. Z łatwością wyciągnął broń.

— Czyżby cię zmysły odeszły, Artusie?! — ryknął. — Czy duch mógłby zrobić taką szczerbę w pokładzie? Nie bredź, człowieku, jestem żyw jak wy wszyscy, a jeśli mi nie wierzycie, rozwałę kilka łbów, by to udowodnić! Wymknąłem się i wampirom i Turańczykom, a co mnie później spotkało, to nie wasza sprawa. Poznajecie mnie teraz?

Starzy kompani radośnie zakręcili się wokół górującego nad nimi olbrzyma, by uścisnąć jego

rękę i poklepać go po plecach. Ci, którzy nie widzieli go nigdy wcześniej, tłoczyli się wraz z innymi, rozpaleni ciekawością. Pragnęli poznać człowieka, którego imię było legendą i o którego fantastycznych wyczynach nadal opowiadano przy winie niemal każdego wieczora.

Nagle przez harmider przebił się ostry głos:

— Co się dzieje?! Kim oni są? Kazałem wam przyprowadzić ich do mnie natychmiast po wzięciu na pokład!

Na mostku stał wysoki mężczyzna w lekkiej kolczudze, zawzięcie tłukący pięścią w reling. Na głowie miał jaskrawo—czerwoną przepaskę. Jego długą, wąską twarz zniekształcała źle wygojona blizna.

— To Conan, kapitanie! — krzyknął stary Artus. — Wrócił nasz stary admirał!

Blisko osadzone oczy kapitana zwęziły się. Zapłonęło w nich złe światło, gdy wpatrzył się w opalonego Cymmerianina. Otworzył usta, ale Conan go ubiegł.

— Nie cieszysz się na mój widok, Yanaku? Pamiętasz, jak wyrzuciłem cię z Bractwa za przywłaszczanie sobie łupów, które należały do wszystkich? Jak ci się udało zostać kapitanem? Złe dni musiały nastać dla piratów!

Yanak poruszył ustami i splunął.

— Za te słowa, barbarzyńco, każę cię powiesić za pięty i upiec na wolnym ogniu! Ja jestem kapitanem i ja tu wydaję rozkazy!

— Możliwe — odciął Conan. — Ale ja nadal jestem członkiem Czerwonego Bractwa — rozejrzał się wyzywająco i nikt nie śmiał zaprzeczyć jego twierdzeniu. — I przestrzegam jego praw. Każdy członek Bractwa ma prawo walczyć z kapitanem okrętu o władzę w uczciwym pojedynku.

Podrzucił pożyczony od Rolfa sztylet i złapał go zreźnie. Była to groźna broń o szerokim, długim na osiem cali ostrzu, ale daleko jej było do miecza. On i Rolf odrzucili szable przed skokiem do morza, więc obecnie ten sztylet był ich jedyną bronią.

Załoga zamruczała, bowiem wszyscy wiedzieli, że w takim pojedynku wyzywający będzie musiał walczyć tym, co miał przy sobie w chwili rzucenia wyzwania, podczas gdy Yanak mógł

wybrać sobie broń. Zbroja także dawała kapitanowi przewagę.

— To szaleństwo, Conanie! — Artus szarpnął Cymmerianina za łokieć. — Yanak porąbie cię na kawałki. Niedawno widziałem, jak wdał się w bijatykę z trzema pijanymi żeglarzami i położył ich wszystkich. Sami wyrzucimy go za burtę i obwołamy cię kapitanem! Wszyscy twoi starzy kamraci stoją po twojej stronie.

Conan potrząsnął głową i warknął:

— Połowa załogi nie zna mnie i może się sprzeciwić. Ludzie podzielą się i nasza siła zostanie osłabiona. Nie, trzeba załatwić to w zgodzie z obyczajem.

Piraci już zrobili miejsce wokół masztu. Yanak zbliżył się z radosnym uśmiechem na poznaczonej bliznami twarzy, sprawdzając giętkość ostrego, prostego miecza. Była to broń wykuta przez mistrza, co znać było po lśniącym ostrzu, sprężystości klingi i czubku ostrym jak igła. Conan ujął pewnie sztylet i ruszył w kierunku masztu. Na pokładzie wyrysowano węglem koło o średnicy sześciu kroków. Zasady pojedynku były bardzo proste. Przeciwnicy musieli walczyć w obrębie kręgu. Wszystkie chwytaki były dozwolone. Zwyczajnie pojedynek trwał do ostatniej krwi albo do chwili, gdy jeden z uczestników zostawał zraniony tak ciężko, że nie mógł już walczyć. W takim przypadku przeciwnik po prostu wyrzucał go za burtę. Jeżeli któryś z walczących wychodził z kręgu, obserwatorzy natychmiast wrzucali go z powrotem.

W chwili, gdy Conan przekroczył linię, Yanak skoczył, tnąc zamaszystym ciosem. Ale

barbarzyńca był zbyt doświadczony, by dać się zaskoczyć. Uskoczył i Yanak uratował się przez pchnięciem sztyletu tylko dzięki temu, że wykręcił się w ostatniej sekundzie. Później kapitan poruszał się bardziej czujnie, starając się wykorzystać przewagę. Dłuższy zasięg jego broni z nadatkiem wyrównywał szansę w starciu z doświadczonego i rosnącego Conanem. Od czasu do

czasu Yanak przystępował do nagłego ataku, rycząc wściekle i miotając przekleństwa, ale

milczący Cymmerianin parował albo robił unik, lekkim krokiem krążąc wokół masztu. Conan ignorował szydercze okrzyki i przekleństwa kapitana, skupiając się wyłącznie na walce.

Nagle Yanak spróbował sztuczki. W pewnej chwili obaj znaleźli się po tej samej stronie masztu.

Kapitan odbił się potężnie i skoczył w górę, w tym samym czasie tnąc w kierunku głowy Conana.

Ale instynkt Cymmerianina wyzwolił jeszcze szybszą reakcję. Zamiast uciekać, skoczył do

przodu. Ostrze Yanaka świsnęło nieszkodliwie za plecami barbarzyńcy, zaś Conan wbił nóż po rękojeść w brzuch przeciwnika. Pirat upadł na pokład, wyjąc i krztusząc się krwią. Miecz wysunął się z jego bezwładnej dłoni. Conan pochylił się i podniósł Yanaka. Lekko przerzucił go nad głowami załogi i cisnął w morze. Sięgnął po upuszczony miecz i omiół szeregi zimnym wzrokiem.

— Kto teraz jest kapitanem, chłopcy?

Potężny wrzask: „Conan!” zadowoliłby każdego niedowiarka. Przez chwilę Cymmerianin sycił się widokiem szalejącej z radości załogi, po czym jego grzmiący głos nakazał ciszę:

— Do żagli i wiosł, niezdary! Jeden człowiek na bocianie gniazdo! Ściga mnie sam Yezdigerd.

Ale, na Croma, zapewnimy mu wesołe polowanie!

Piratów oszołomiła wieść o ich arcywrogu, jednakże bałwochwalcza wiara w Conana była tak silna, że rozproszyła wszelkie obawy. Wielu pamiętało, jak Cymmerianin wykpiwał się z nieprawdopodobnych oparów. Opowieści o tych wyczynach szybko rozeszły się wśród reszty załogi.

Conan skoczył na mostek i ryknął:

— Postawić żagiel! Kurs południowy wschód!

Ludzie pociągnęli za liny, śpiewając pełne wigoru żeglarskie pieśni. Żółte płótno wydeło się na wietrze. Pirat w hełmie naprężył się przy rudlu, zmieniając kurs. Okręt pomknął na wschód, z wiatrem w zawody, niczym rączy jelen na bagnach.

— Więc myślisz, że oszalałem, Argusie? Na Croma, mam nadzieję, że Yezdigerd też tak uważa!

Rzeński śmiech Conana zadudnił w dostatnio urządzonej kajucie. Cymmerianin rozpiął się w fotelu, z kubkiem wina w ręku. Starannie przejrzał garderobę swego poprzednika i teraz miał na sobie barwny strój pirata; szkarłatne spodnie, lśniące wysokie buty, żółtą koszulę z vendhiańskiego jedwabiu i szeroką, wielobarwną szarfę w pasie. Całość wieńczyła czerwona przepaska na głowie, a za szarfą tkwił długi kordelas o bogato rzeźbionej w kości słoniowej rękojeści.

Razem z Artusem, w towarzystwie Conana wałkonął się Rolf. Bosman z nachmurzonym czołem postawił swój kubek na stole.

— Nie, Conanie, znam cię zbyt dobrze. Ale rzucanie się prosto w szczęki Turańczyków to rzecz zbyt szalona. Przynajmniej powiedz nam, co zamierzasz. Ludzie są pijani pewnością siebie i nie myślą o tym, że Yezdigerd wie, co najmniej dwie wojenne galery. Ja jestem dość stary i trzeźwy, by się nad tym zastanowić. Jakie są twoje zamierzenia?

Conan spoważniał. Wstał i podszedł do pozłacanej drewnianej szafki. Otworzył ją i wyjął zwój pergaminu. Rozpostarł go na stole. Była to mapa wód, po których teraz żeglowali.

— Oto nasza pozycja. Yezdigerd jest jakieś cztery dni drogi od Aghrapur. Turańskie okręty są szybkie. Zakładając ich największą możliwą prędkość, wyliczyłem, że są gdzieś tutaj — zakreślił koło na mapie. — Przy naszym obecnym kursie i szybkości, spotkamy się z Yezdigerdem w okolicach Archipelagu Zhurazi.

— Zhurazi, co? — mruknął Artus. — To niebezpieczne wody. Nikt jeszcze nie zrobił ich dokładnej mapy. Rozumni ludzie omijają te przeklęte skały. Niektórzy mówią, że są nawiedzane przez demony i potwory z królestwa Dagona, i że człowiek jest zgubiony, jeżeli postawi nogę na brzegu.

— Zgubiony, do czarta! — prychnął Conan. — Kiedyś, po rozbiciu okrętu, przeżyłem dwa tygodnie na głównej, północnej wyspie. Wśród skał mieszka plemię żółtych dzikusów, i jedyny kłopot polegał na tym, by wyperswadować im chęć złożenia mnie w ofierze ich jaszczurczemu bogu!

W taki to oto niedbały sposób zdał sprawozdanie z dramatu, jaki rozegrał się przed laty na tych wyspach. Zwinnie jak pantera Conan nie tylko zachował życie w tej wrogiej krainie, ale również zabił potwora z osnutych niepamięcią wieków. Cymmerianin nie zamierzał jednak rozmyślać nad przeszłością. Cała jego uwaga skupiła się wyłącznie na chwili obecnej.

Stał przez chwilę w milczeniu wpatrując się w mapę. Potem zmiotł ją ze stołu i odwrócił się do przyjaciół.

— Masz rację, Artusie. Nie ma podanych głębokości ani raf. To turańska mapa, prawda?

Nakreślona przez mierniczych z Aghrapur, zatem taką samą mają nasi spragnieni krwi prześladowcy. I na tym polega nasza przewaga!

I chociaż naciskali go twardo, nie powiedział już ani słowa więcej.

Muskuły grały na plecach niewolników mozolących się przy wiosłach. Pióra wznosiły się i opadały w stałym rytmie, gnając olbrzymi okręt przez fale. Krzepki nadzorca z plecionym biczem chodził kocim krokiem w tę i z powrotem. Od czasu do czasu kańczug rozwijał się niczym atakująca kobra i spadał na plecy gubiącego rytm wiosłarza. Niewolnicy na turańskich galerach zawsze byli traktowani z okrucieństwem, lecz to, co działo się na flagowym trójrzędowcu Yezdigerda „Szabli”, przerastało wszelkie wyobrażenia.

Cesarz odpoczywał pod markizą na krytej jedwabiem kanapie na rufie i popijał wino ze złotego pucharu. Na podobnym posłaniu obok leżała szlachetna Thanara.

Władca był w podłym nastroju, a jego oczy ponure i zadumane, gdy powoli wirował bladożółtym trunkiem w złotej czarze.

— Złe moce pomagają temu cymmeriańskiemu diabłu! — powiedział wreszcie. — Musiał skraćć łódź zaraz po swej ucieczce. Tymczasem moi przekłęci admirałowie potrzebowali pół dnia, by wyprowadzić okręty na morze, a potem demony zesłały nam przeciwny wiatry. Pełzniemy niczym ślimaki!

— I tak szybciej, niż on — powiedziała Thanara, patrząc na monarchę spod długich rzęs — jego słabe wiosła stanowią niewielką pomoc w takim wietrze. Każde uderzenie w bęben zmniejsza jego przewagę. Bądź cierpliwy, panie! Erlik odda tego barbarzyńcę w nasze ręce.

— Moi zausznicy też często tak myśleli, jednakże temu łajdakowi zawsze udawało się wykaraskać z najprzemysłniejszych pułapek. Lecz teraz po raz pierwszy ja sam jestem myśliwym! Osobiście dopilnuję, by tym razem nie uciekł. Na brodę mego ojca Yildiza, porachujemy się! — głos Yezdigerda zadźwięczał, a w oczach rozblęła nowa energia. Ocienił twarz i rozejrzał się po błyszczącej wodzie.

Po chwili nagle machnął ręką. Admirał podbiegł spiesźnie. Złoczone łuski karaceny dostojnika zamrugały w słońcu.

— Widzę ład, Uthaghizie. Czyżbyśmy zboczyli z kursu? — zapytał cesarz.

Admirał, znając porywczy temperament swego pana, szybko rozwinął mapę.

— To, wasza wysokość, Archipelag Zhurazi. Cymmerianin zapewne wylądował tam, by uzupełnić zapasy jedzenia i wody. Zamierzam przeszukać wybrzeża, wypatrując śladu jego łodzi.

Co więcej, blisko tych wysp wiedzie najkrótszy szlak do wschodnich wybrzeży.

— Może masz rację. Trzymaj ludzi w pogotowiu. Jak blisko możemy podpłynąć?

— To nieznane wody, panie. Wieści na temat wysp są pełne zabobonów. Słyszałem

przerażające opowieści o piekielnych potworach, żyjących wśród tych urwisk. W tej części Vilayet nie prowadzono żadnych pomiarów. Nie ośmielimy się podejść zbyt blisko, żeby nie wpaść na skały.

— Żagiel! — zawołała nagle Thanara.

Wszyscy zerwali się na równe nogi, ale na lini horyzontu nie dostrzegli ani śladu statku.

Cesarz opadł na złoconą kanapę, mruczając gniewnie. Czyżby oczy ją oszukały? A może

naprawdę widziała żagiel, który zaraz zniknął za skalistą wysepką na skraju archipelagu?

Turańskie okręty z każdym pociągnięciem wiosel zbliżały się do wysp. Thanara niecierpliwie

czekała na ponowne pojawienie się żagla. Nagle zeszywniała i wyciągnęła rękę. Żagiel znów

zalsnił w słońcu.

— Patrz, panie! — krzyknęła. — Oto łup dla twych okrętów! Piraci! Zaskoczyliśmy ich!

Thanara nie była jedyną osobą, która wysledziła korsarzy. Zaczęto wykrzykiwać rozkazy.

Załoga przygotowywała się do bitwy, a sygnaliści zawiadomili sąsiedni okręt. Nadzorcy gorliwie ruszyli między ławy, sprawdzając kajdany na nogach wioślarzy. Pod masztem ustawiono

katapultę, a żołnierze pobiegli na stanowiska przy burtach. Łucznicy wspięli się na wanty,

zajmując dogodne pozycje.

Nawet bystre oczy Conana nie potrafiły dostrzec szczegółów tych przygotowań, ale

barbarzyńca wiedział, iż są one w toku. Piraci od dawna byli przygotowani do bitwy. Choć byli mniej liczni od cesarskich załóg i mieli mniejsze szanse w bezpośrednim starciu, wszyscy ślepo ufali swemu barbarzyńskiemu kapitanowi. Ludzie, którzy przed laty żeglowali z Conanem,

opowiadali z zapalem o morskich bitwach i przemyślnych sposobach, dzięki którym Cymmerianin

zawsze okpiwał swoich wrogów. Piraci potrząsali bronią w kierunku odległych turańskich statków i miotali przekleństwa w wielu językach.

— Przygotować się do zawrócenia! — ostry głos uciał wrzawę niczym stal.



Załoga zamarła zdumiona takim rozkazem. Jak to?! Przecież byli przygotowani na atak,

dowodził nimi największy w świecie kapitan, i cóż ten kapitan robił? Szykował się do ucieczki jak płochliwy królik! Zdumieni bezgranicznie, bez przekonania wrócili do swych obowiązków. Conan zauważył ich brak entuzjazmu.

— Szybciej, parszywi łajdacy, albo każę was wychłostać! — warknął. — Myślicie, że jestem na tyle głupi, by walczyć na otwartym morzu z dwiema galerami, z których każda dwakroć przerasta nas siłą? Mam lepszy plan! Nie martwcie się, gamonie, czeka was bitwa, o której będą śpiewać pieśni. A teraz szybciej!

Rozpaleni nowym zapalem piraci skoczyli do lin i wiosła. Wkrótce okręt mknął w kierunku wewnętrznej części Archipelagu Zhurazi.

Przed wprowadzeniem swoich planów w życie, Conan naradził się z okrętowym cieślą. Zebrane wiadomości, razem z jego własną wiedzą na temat tych wód, nie pozostawiły mu najmniejszych wątpliwości. Archipelag Zhurazi składał się z dwóch wielkich wysp otoczonych niezliczonymi małymi. Cieśnina między głównymi wyspami była długim, wąskim kanałem i właśnie tam Conan skierował swój okręt.

Oblicze Cymmerianina wyrażało ponure oczekiwanie, gdy patrzył na podążające za rufą turańskie galery i na ich wiosła tnące wodę z największą prędkością, jaką dało się wycisnąć z mięśni niewolników.

Cesarz Yezdigerd, w srebrzystej kolczudze i hełmie o złotym szpicu, niespokojnie przemierzał pokład rufowy. Na lewym ramieniu miał okrągłą tarczę z herbem, a u jego boku wisiała długa szabla. Okrutny i posepny turański monarcha po raz pierwszy od wielu lat miał wziąć osobisty udział w walce.

— Patrzcie, jak uciekają te tchórzliwe hieny! — zawołał. — Czyżby nie chcieli się z nami zabawić? Stracą wiatr między tymi wyspami, a wtedy dzięki naszym wiosłom staną się łatwą zdobyczą. Szybciej!

Tymczasem admirał naradzał się gorączkowo z kapitanem okrętu, który podkreślał swój punkt widzenia licznymi gestami i potrząsaniem głową. Wreszcie admirał, z powątpiewającym wyrazem

twarży, wrócił na rufę.

— Wasza wysokość, nikt nigdy nie sondował tych wód — powiedział. — Nie posiadamy żadnych wiarygodnych map i kapitan boi się, że wpadniemy na mieliznę. Proponuję okrążyć wyspy i dopaść piratów na otwartym morzu.

Yezdigerd zamaszystym gestem uciął obawy admirała, a głos zadrzał mu z rozdrażnienia:

— Mówiłem ci, że ten łotr będzie łatwym łupem nawet pod osłoną wysp. Niech dozorczy nie szczędzą razów, by zwiększyć prędkość. Wkrótce zaciśniemy na nich szczęki!

Wyglądało na to, że oczekiwania cesarza nie są pozbawione podstaw. Smukły, korsarski okręt znajdował się ledwie w połowie przesmyku, z trudem posuwając się do przodu. Turańczycy, widząc ofiarę niemal w zasięgu ręki, zawyli z radości.

Wśród piratów zapanowała konsternacja. Posuwali się powoli, a turańskie okręty zbliżały się z każdym uderzeniem wiosł niczym jastrzębie spadające na gołębia. Rolf milczał jak posąg, ale Artus błagał kapitana:

— Kapitanie, Turańczycy dostaną nas, nim przejdziemy cieśninę! Nie mamy najmniejszych szans! Nie możemy manewrować w tak wąskim przesmyku i ich ostrogi rozłupią nas jak skorupkę jaja. Powinniśmy podholować statek do brzegu łodziami! Wtedy moglibyśmy przyjąć walkę w dżungli. Na Tarima! Musimy coś zrobić!

Conan niewzruszenie patrzył na zbliżające się galery. Rzeczywiście stanowiły budzący grozę widok. Na czele szła „Szabla”. Przy jej długiej na dziesięć stóp dziobowej ostrodze gotowały się białe odkosy. Wyglądała jak anioł przeznaczenia, opadający majestatycznie na złoczyńcę.

Niedaleko za nią podążała jej siostra, tylko odrobinę mniej imponująca.

— Śliczny widok, na Croma — powiedział spokojnie Conan. — I dobre tempo. Poganiacze jak widać wymachują biczami z wigorem. Ten pierwszy to ciężki okręt, trzy, cztery razy cięższy od nas — jego głos zmienił się od żartobliwego do surowego: — Głębokość?

— Pięć łokci, kapitanie i powoli wzrasta. Najwidoczniej minęliśmy największą płyciznę. Dziw, że nie zahaczyliśmy dnem!

— Dobrze! Wiedziałem, że przejdziemy. Teraz patrzcie na naszych prześladowców!

„Szabla”, pędząca za swą ofiarą z pełną prędkością, nagle zatrzymała się. Między wyspami odbił się echem przeraźliwy trzask pękającego drewna i lin. Krzyki przerażenia rozdarły powietrze, gdy maszt pękł u podstawy i wywrócił się, spowijając pokład lawiną płótna. Galernicy zaczęli wiosłować w drugą stronę, by ściągnąć okręt z mielizny, ale jego prędkość w chwili zderzenia była zbyt wielka. Niewidzialna ławica trzymała „Szablę” niczym ramiona potężnej ośmiornicy.

Druga galera miała więcej szczęścia. Jej kapitan był zdecydowanym człowiekiem i gdy pierwszy okręt wpadł na mieliznę, bezzwłocznie rozkazał wiosłować w tył. Jednak, co było do przewidzenia, wiosła zaczęły się zderzać i gubić rytm, w wyniku czego galera zwróciła się w stronę brzegu. Przed wpadnięciem na rafy uratowała ją tylko kolejna ławica piachu, w który trójrzędowiec worał się powoli. Natychmiast spuszczone łodzie na wodę i rzucono liny, przygotowując się do żmudnego ściągnięcia jednostki na głęboką wodę.

Zebrani na pokładzie korsarze wrzeszczeli radośnie, potrząsając bronią i czyniąc sprośne gesty w stronę Turańczyków. Wykrzykiwano wciąż imię Conana i nawet Artus wyraził głośno swoje uznanie.

— Te galery spędzą całe dni na mieliznie — powiedział. Wątpię, czy ta większa kiedykolwiek będzie pływać. Musi mieć dno rozłupane na pół. Więc, kapitanie, dokąd pozeglujemy? Do Khorafu, gdzie łowcy niewolników zawijają z najpiękniejszymi kobietami Południa? Czy do Rhamdanu, gdzie kończą się wielkie szlaki karawan?

— Mamy tu turańskie okręty, przyjacielu — w głosie Conana zabrzmiała pogarda. — Nie pozwolimy uciec Yezdigerdowi skoro mamy go w potrzasku! Obiecałem wam walkę i będziecie ją mieli! — zawołał, po czym przerwał i spojrzał w górę — wiatr się zrywa; wychodzimy z zawietrznej. Wyznaczyć kurs do ominięcia wysp!

Chętne ręce śmignęły do lin, gdy wszyscy w pełni zdali sobie sprawę z geniuszu Conana.

Cesarz Yezdigerd miotał się po rufie swego strzaskanego okrętu flagowego. Targał nim

niepohamowany gniew, który wyładował tylko częściowo rozkazując ściąć sternika i marynarza odpowiedzialnego za sondowanie. Obecnie nie zagrażało im niebezpieczeństwo zatonięcia, bowiem kadłub pewnie osiadł na rafie, ale woda wlewała się przez niezliczone szczeliny w poszyciu, co wskazywało, że okręt już nigdy nie będzie pływał. Dodatkowym powodem doprowadzającym władcę do białej gorączki był fakt, że dał się wywieść w pole uciekającym piratom.

— Będę ścigał tego psa po krańce ziemi! — wył. — Ten fortel cuchnie Conanem na milę!

Ręczę, że jest na pokładzie! Czy Khogar nigdy nie ściągnie na wodę tej przeklętej bali ?

Podczas gdy Yezdigerd pieniał się z wściekłości, na „Gwieździe Khorali” trwały wytężone prace. Przez cały dzień załoga powoli, cal po calu, ścigała statek z mielizny z pomocą spuszczonej z pokładu łodzi. Kapitan „Gwiazdy” był tak głęboko pochłonięty kierowaniem pracą, że jego uwagę odwrócił dopiero ostrzegawczy krzyk z bocianiego gniazda.

Za przyłądka wyłonił się statek, który zgodnie ze zdrowym rozsądkiem powinien uciekać, gdzie pieprz rośnie! Żółty żagiel nadymał się majestatycznie. Okręt był smukły, a jego burty i wanty dosłownie oblepione rwącymi się do walki piratami. To uszu Turańczyków docierały coraz głośniejsze szyderstwa i piekielne wycie.

Piracki okręt niczym orzeł uderzył wprost na bezradną „Gwiazdę Khorali”. Staranował najpierw jedną z szalup, przecinając ją na dwoje, wyrzucając w powietrze drzazgi i ludzi. Potem zwinął żagiel, wykonał szybki zwrot i w jednej chwili ustawił się burta w burtę ze swą ofiarą.

Bosaki wgryzły się w drewno, a deszcz strzał poprzedził wyjąca, spragnioną krwi czeredę, która przystąpiła do abordażu.

Turańczycy walczyli dzielnie. Zostali zaskoczeni, jednakże kapitanowi udało się zachować minimum porządku. Piraci zalali niższy pokład, zaścielając deski trupami, ale ich atak został

powstrzymany przez grad strzał z rufy, gdzie turańscy żołnierze strzelali zza gąszczu nachylonych włóczni. Chwila konsternacji nie trwała jednak długo. Piraci natarli niepowstrzymanie,

prowadzeni przez odzianego w kolczugę barbarzyńcę, który na prawo i lewo rozłupywał czaszki i odrąbywał kończyny ze zdawałoby się magiczną łatwością.

Turańczycy nie zdołali dotrzymać pola wojownikom, prowadzonym przez szalejącego Cymmerianina. Szeroki łuk jego miecza uczynił wyłom w płocie włóczni. Chwilę później pijana krew horda zaroła się na rufie, rozbijając żołnierzy w puch.

Kapitan Khogar wiedział, że jedyną nadzieją na uratowanie statku jest zabicie dowódcy piratów, dlatego skoczył na spotkanie Conana. Ich ostrza zadźwięczały w kolistym tańcu stali. Ale Turańczyk nie miał szans dorównać Conanowi, weteranowi tysiąca pól bitewnych. Ostry skraj turańskiego jatagana co prawda ściał kosmyk kruczej czupryny, ale w następnej chwili ciężki miecz barbarzyńcy wgrzył się w osłonięty kolczugą bok kapitana. Khogar runął na pokład z rozwaloną klatką piersiową.

Walka dobiegła końca, gdy turańscy żołnierze zobaczyli śmierć swego kapitana. Rozległy się krzyki o łaskę, zaczęto rzucać broń na pokład.

Conan przyglądał się tej scenie z ponurym zadowoleniem. Stracił dwudziestu ludzi, ale przejął jedyny zdalny do żeglugi okręt, jaki posiadał jego przeciwnik. Kilku piratów już pracowało nad rozkuciem kajdan galerników. Co chwila krzyczeli z radości, znajdując wśród nich dawno

zaginionych przyjaciół. Inni korsarze zaganiali pod pokład pojmanych Turańczyków. Podczas gdy nowa załoga zajęła się ściąganiem okrętu na głęboką wodę, piracki statek odbił od burty. Jego załoga powiększyła się o dziesiątki uwolnionych i pośpiesznie uzbrojonych galerników.

Prowadzony przez Conana skierował się ku drugiej zdobyczy.

W tawernie w Onagrulu, będącym bazą piratów Morza Vilayet, ochryple głosy wołały o więcej wina. Zimny płyn skwapliwie lano do kubka Artusa, a zebrani przysuwali się, by słuchać jego opowieści. Siwy pirat ugasił pragnienie kilkoma łapczywymi łykami. Zadowolony, wytarł usta grzbietem dłoni i omiół wzrokiem słuchaczy.

— Tak, chłopcy, żałujcie, żeście tam nie byli! Wspaniała była walka, gdy zdobywaliśmy

pierwszy okręt. Potem ruszyliśmy na „Szablę” Yezdigerda. W ich oczach musieliśmy wyglądać na wcielone diabły, ale czekali na nas w pogotowiu. Cięli liny haków abordażowych mieczami i

siekierami, póki nasi łucznicy nie odpędzili ich od relingu. Kiedy wreszcie przycumowaliśmy u wrażej burty, Conan pierwszy skoczył na ich pokład. Turańczycy zamknęli go w kręgu mieczy, ale on roztrącił ich jak niedźwiedź wilki. Potem rzuciliśmy się wszyscy i rozpętało się piekło.

Turańczycy byli dobrze wyszkolonymi i zahartowanymi żołnierzami, osobistą gwardią

Yezdigerda i bili się pod okiem swego pana. Przez chwilę szala zwycięstwa chyliła się na ich stronę, mimo nadludzkich wysiłków Conana, który rąbał turańskie kolczugi i hełmy jak przegniłe drewno. Gwardziści stali w karnym szeregu, i nasze ataki odbijały się od ich piersi jak krwawe fale od skalistego brzegu.

Potem rozległ się okrzyk triumfu, gdyż niektórzy z nas zeskoczyli pod pokład i zaczęli rozkuwać kajdany niewolników. Galernicy wypadli jak horda potępionych dusz. Porwali broń,

jaka leżała przy trupach. Nienawiść do byłych panów musiała głęboko wgryźć się w ich serca. Nie bacząc na własne bezpieczeństwo, runęli na Turańczyków, spychając nas na bok. Niektórzy rzucali się piersiami na miecze i włócznie, inni wspinali się po ich ciałach, by dusić Turańczyków gołymi rękami. Widziałem, jak jakiś potężny niewolnik złapał ciało gwardzisty jak pałkę i powalał nim wrogów, póki sam nie padł przeszyty tuzinem strzał.

Zapanowało zamieszanie. Równe szeregi zachwiały się, a Conan wykrzyknął swe zawołanie

bojowe i rzucił się w tłum. Myśmy poszli zanim, zdecydowani wygrać albo umrzeć. W szkarłatnej fali zmyliśmy okręt od dziobu do rufy. Rozrzućliśmy wroga tak, jak wichher rozrzuca plewy, a pokład ociekał od krwi.

Conan był straszny jak tygrys. Jego miecz uderzał niczym piorun. Trup słał się wokół niego jak zboże pod sierpem żniwiarza. Rzucił się tam, gdzie bój był najcieplejszy i zawsze jego pojawienie się zwiastowało zły los dla Turańczyków. Z dziką pasją przedzierał się w stronę rufy, gdzie stał sam Yezdigerd, otoczony przez doborowy oddział. Conan rozbił ich na podobieństwo szarżującego

słonia. Ludzie padali pod razami jego miecza jak lalki. Yezdigerd wrzasnął z wściekłości, i własną osobą ruszył mu na spotkanie. Dzikie przekleństwa lały się z jego ust, gdy zwarli się w walce.

„Poznałem w tym twoją rękę, cymmeriański kundlu!” wrzeszczał. „Na Erlika, odbierzesz należną zapłatę! Zdychaj, barbarzyński psie!”

Wyprowadził straszliwy cios w gardło Conana. Żaden zwyczajny człek nie mógłby ani uciec, ani go powstrzymać, ale Cymmerianin jest lepszy od tuzina zwyczajnych ludzi.

Z miażdżącą siłą sparował tak szybko, że ludzkie oko nie zdołało go dostrzec.

„Sam zdychaj, szakalu Turanu!” zagrzmiał. Przez chwilę wymieniali ciosy jak błyskawice, podczas gdy reszta przestała walczyć i patrzyła. Raptem potężne uderzenie strzaskało tarczę

Yezdigerda. Lewa ręka cesarza opadła bezwładnie. Conan jednym ciosem odrąbał jego brodatą

głowę, która z dudnieniem potoczyła się po pokładzie. Wtedy Turańczycy poddali się jak baranki.

Nie wzięliśmy wielu jeńców, bowiem miecze zebrały wielkie żniwo. Została tylko połowa z dwustu naszych, ale pojмалиśmy bądź zabiliśmy trzysta turańskich psów.

Napił się wina i podniósł kubek po dolewkę. W czasie tej przerwy jeden ze słuchaczy zapytał:

— A ta turańska suka? Co się z nią stało?

Czoło Artusa zachmurzyło się, a ręce wyraźnie zadrżały.

— To najdziwniejszy wypadek tego pamiętnego dnia. Wiązaliśmy i zganialiśmy jeńców, kiedy

słońce ściemniało i ogarnął nas nagły chłód. Woda zabarwiła się na czarno wokół okrętów, a wiatr zajęczał w takielunku jak zatracona dusza, mimo iż staliśmy pod osłoną klifu.

Ktoś krzyknął i podniósł rękę. Na niebie pojawiła się czarna plama, z każdą chwilą większa i większa. Na początku wyglądała jak ptak czy nietoperz. Potem przybrała kształty potwora

podobnego do uskrzydłonego człowieka. Z szumem błoniastych skrzydeł stwór wylądował na

rufie. Przenikliwy krzyk zmroził nam serca jak sama śmierć.

Na ten znak kobieta z Maypuru wybiegła z kabiny, której jeszcze żaden z nas nie sprawdził.

Potwór natychmiast porwał ją w górę i uniósł, wymachując skrzydłami.

W mgnieniu oka oboje zniknęli z zasięgu wzroku, a wtedy znów zaświeciło słońce.

Z pobladłymi twarzami wytrzeszczaliśmy na siebie oczy. Każdy pytał sąsiada, co się stało.

Jestem pewien, że gdyby ten potwór został, wszyscy ze strachu skoczylibyśmy do morza, ale

zniknął tak szybko, że nie mieliśmy czasu na panikę. Nawet Conan był blady. „Widziałem tego

stworu wcześniej”, wymruczał, ale nie chciał nic wyjaśnić. Niektórzy z nas przypuszczali, że diabeł zaciągnął Thanarę do piekła wyznawców Erlika. Ale inni, którzy stali bliżej mówili, że kobieta nie okazała strachu, raczej zadowolenie, jakby sama wezwała potwora.

Wreszcie Conan otrząsnął się i rozkazał, by odrzec zabitych z ich cennych rzeczy i wyrzucić

trupy za burtę, nawet ciało cesarza. O uprowadzeniu Thanary rzekł tylko tyle:

„Niech ta przeklęta dziewczka ucieka ze swym demonem. Nie wojuję z kobietami, chociaż tę

chętnie odarłbym ze skóry za zdradę”.

I to był koniec. Spaliliśmy galerę leżącą na mieliźnie i odpłynęliśmy drugą.

— A gdzie jest Conan? — zaciekał się inny ze słuchaczy. — Dlaczego nie przybył, by samemu opowiedzieć o swoich przygodach? Czy wróci jako nasz wódz, by zmieść Turańczyków z powierzchni morza?

— Niestety, nie! Cymmerianin skierował okręty prosto na wschodnie wybrzeże. Powiedział, że ma do spełnienia misję niezmiernej wagi i że zatrzymał się z nami tylko po to, by załatwić stare porachunki z Yezdigerdem. Jeden z uwolnionych galerników pochodził z Khitai. Conan

rozmawiał z nim godzinami. Mówili o dalekich krajach leżących za Górami Himeliańskimi. Jeżeli naprawdę jego celem jest Khitaj, musi szukać naprawdę cennego skarbu. Zresztą któż inny byłby na tyle szalony, by wyprawiać się do krajów leżących za wschodzącym słońcem?

— Dlaczego nie zabrał z sobą choćby dwudziestu ludzi?

— To kolejna tajemnica. Powiedział, że przysiągł odbyć tę podróż samotnie, bo inaczej nie zdoła osiągnąć zamierzonego celu. Wyszliśmy go zatem na wschodnim wybrzeżu, a pożegnanie między nim i Rolfem z Północy było krótkie i męskie. Załoga ze smutku zaczęła śpiewać pieśń żałobną, aż przekleństwa Conana zmusiły nas do milczenia. Patrzyliśmy za nim aż zniknął za wydumą.

Teraz Rolf jest naszym kapitanem, a zdolniejszego nie ma na świecie oprócz Conana.

Cymmerianin bowiem na zawsze pozostanie największym kapitanem ze wszystkich, nawet kiedy

Morze Vilayet pochłonie pustynia i gwiazdy spadną z nieba. Wypiję jego zdrowie i za powodzenie jego misji!

Toast został spełniony w ciszy niezwykłej jak na piracką tawernę.



# VI

## ZDRADA NA WSCHODZIE

— I jak się miewa jej królewska wysokość, devi Yasmina? — zapytał Conan tłustego oberżystę, wychylając puchar wonnego wina z Vendhi . Powierzając swe bezpieczeństwo kshatryańskiemu przebraniu, zaryzykował odwiedzin w oberży, by ugasić pragnienie nie tylko wina, ale i wieści o tej ponętnej kobiecie, której cesarstwo niegdyś uratował. Naszły go stare wspomnienia. W jego błękitnych jak lód oczach pojawiła się zaduma, gdy słuchał słów gospodarza.

Chociaż karczma była prawie pusta, zgrzytliwy głos właściciela ścichł do szeptu, gdy oberżysta pochylił się do ucha Cymmerianina.

— Ach, devi władza mądrze i pewnie, chociaż nie wspiera jej żaden małżonek. Ale szlachta mówi, że tron potrzebuje wojennego ducha. Słysząc nawet pogłoski, że jej kuzyn chan Chengir ma oko na władzę i na nią samą. Dotychczas devi opierała się jego zalotom, lecz dobro publiczne wkrótce zmusi ją do zmiany decyzji. Dynastia musi trwać, a Yasmina winna wypełnić swój obowiązek względem królestwa.

Krępy Vendhiańczyk rzucił szybkie spojrzenie w stronę otwartych drzwi. Ciężkie kroki i szczęk broni zapowiedziały nadciągających żołnierzy. Karny oddział, z tarczami na ramionach i z włóczniami w rękach, zatrzymał się na rozkaz dowódcy. Poznaczony bliznami stary ghebra wszedł do oberży. Szybko omiótł wzrokiem twarze obecnych, na chwilę zatrzymał oczy na Conanie, potem skierował je na gospodarza.

Oficer podszedł do szynku i szepnął coś karczmarzowi. Nad blatem przemknęło parę zakurzonych butelek, które następnie zniknęły w jedwabnym worku żołnierza. Dobiwszy targu, oficer wymaszerował z oberży i wyszczerzył komendę. Jego oddział znów ruszył miarowym krokiem.

Conan obojętnie popatrzył za oddalającymi się żołnierzami. Myślał o Yasminie, samotnej władczyni we wrzącym od spisków pałacu. Wzruszył ramionami. Wewnętrzne sprawy Vendhi nie były jego sprawą. Zamiast tego powinien zająć się własnymi kłopotami. Jutro wyruszy na wschód, w kierunku Gór Himeliańskich, i powinien wypocząć przed podróżą. Jego potężne ciało potrafiło znieść trudy niewyobrażalne dla cywilizowanego człowieka, ale instynkt nakazywał mu

odpoczywać ilekroć nadarzała się sposobność. Conan postępował zatem niczym drapieżnik na długim polowaniu.

— Karczmarz! — zakrzyknął. — Masz wolną izbę na tę noc? Padam z nóg ze zmęczenia. Te pustynne podróże wysysają z człowieka wszystkie siły.

Wschodnia noc spowijała miasto Ayodhya jak gorący, jedwabny koc. Gwiazdy połyskiwały w diamentowym splendorze na tle jej czarnego aksamitu, a na zachodzie gasł sierp zachodzącego księżyca. W domach płonęły pochodnie i świece. Z jasno oświetlonych pałaców dobiegał śmiech, muzyka i tupot roztańczonych dziewczęcych stóp, podczas gdy w mrocznych świątyniach pobrzmiwały surowe tony złotych cymbałów i ciche głosy chóru wyznawców. Conan przebudził się nagle, spięty niczym sprężyna. Usłyszał, że ktoś gmera przy drzwiach jego izby. Leżał na łóżku, mając na sobie jedynie jedwabne spodnie. Noc była duszna, dlatego odrzucił pościel. Wstał bezszelestnie, z mieczem w ręku, czujny jak wilk. Klamka opadła powoli i ostrożnie. Gdy drzwi zaczęły się uchylać, Conan skrył się w ich cieniu. Do środka wsunęła się drobna zawoalowana postać w długich szatach. Zatrzymała się niepewnie, jak gdyby zdumiona widokiem pustej izby. Conan wyteżył słuch. Z zewnątrz nie dobiegał żaden podejrzany dźwięk. Najwyraźniej tajemniczy gość przybył samotnie. Conan nie miał pojęcia, w jakim celu. Każdy Vendhiańczyk, który by go rozpoznał, przyprowadziłby z sobą całą straż miejską. Kshatrijańczycy nie zapomnieli jeszcze góralskiego wodza z Ghor, chociaż minęły lata, od kiedy jego kudłate hordy spłynęły z gór, by ograbić ich miasto.

Conan postanowił jak najszybciej wyjaśnić sytuację. Jego ręka błyskawicznie zacisnęła się na ramieniu intruza i mimo desperackiego sprzeciwu rzuciła go na łóżko jak dziecko. Dwoje przerażonych oczu spojrzało na Conana, który syknął:

— Co robisz w moim pokoju? Mów! Ale po cichu!

Zdjął rękę z ust jeńca i zdarł woale. Jego oczom ukazały się pełne usta i prosty, wąski nos młodej Vendhianki. Dziewczyna przemówiła głosem dźwięcznym jak srebrne świątynne dzwoneczki:

— Przyszłam, by zaprowadzić cię do mej pani. Dowiedziała się o twoim przybyciu i pragnie cię zobaczyć. Ubierz się i ruszajmy. Śpiesz się!

Conan podejrzliwie zmrużył oczy.

— Po co ten pośpiech, dziewczyno! Czy twoja pani nie da się wyspać strudzonemu człowiekowi? Dlaczego nie mielibyśmy spotkać się jutro?

— W ciągu dnia wielu ludzi w pałacu mojej pani mogłoby rozpoznać Conana z Ghor. Moja pani nie życzy sobie, by rozdarły cię dzikie słonie.

Conan natychmiast stał się czujny.

— Conan z Ghor, co? Kto mnie tu zna? Kim ona jest? Czego chce?

— Nie mogę ci powiedzieć. Oto, co rzekła moja pani, nim wyprawiła mnie z pałacu: „Jeżeli będzie się wahał, powiedz mu, że dziewczyna z Góry Yimsha chce mu zapłacić za podarowane niegdyś galzajskie ubrania”.

Yimsha! Myśli Conana powędrowały w odległą o trzynaście lat przeszłość, do pamiętnych dni, kiedy napadł na czarnoksiężników Czarnego Kręgu i jak zaopatrzył pewną dziewczynę w ubrania kupione co prawda, pod groźbą miecza, ale zawsze za pieniądze od pewnej Galzajki. Ową dziewczyną była sama Yasmina!

— Więc twoją panią jest devi! Czemuś nie powiedziała od razu?

— Tak, to devi mnie przysłała. Teraz pospiesz się!

Conan ubrał się i uzbroił, a dziewczyna bezszelestnie otworzyła drzwi i wyrzała. Potem skinęła na Conana. Oboje bezgłośnie sunęli po schodach i wyszli w parną noc. Podążali krętą drogą. W pogłoskach o intrydze, o której Conan usłyszał w oberży, musiało być ziarno prawdy, gdyż jego przewodniczka często oglądała się przez ramię. Wiele razy skręcała w wąskie, brukowane kocimi łbami uliczki, ciemniejsze od samej nocy, zupełnie jakby chciała zgubić szpiega.

Raz w takiej uliczce wyskoczył na nich z bramy wielki pies z jarzącymi się ślepiami i ociekającym śliną pyskiem. Sztych Conana pozostawił go rozciągniętego w rynsztoku bez życia.

Innym razem, w zaułku pojawiła się grupka obszarpańców. Gromki uśmiech Conana i znaczące trzaśnięcie dłonią w rękojeść miecza sprawiło, że uciekli w popłochu. Żadna inna przeszkoda nie stanęła na ich drodze.

Wkrótce wędrówka dobiegła końca. Zatrzymali się przed wysokim murem zwieńczonym

blankami, który otaczał królewski pałac. Strzeliste wieże i smukłe iglice sięgały nieba. Zapach egzotycznych kwiatów i owoców z wewnętrznych ogrodów docierał aż na ulicę. Dziewczyna

przyjrzała się powierzchni muru i przycisnęła na raz dwa kamienie. Część muru bez najcichszego dźwięku wsunęła się do wewnątrz, odsłaniając skąpo oświetlony korytarz.

Dworka przycisnęła palec do ust, nakazując Conanowi zachowanie ciszy i ruszyła przodem.

Sekretne drzwi zamknęły się bezszelestnie za ich plecami. Cymmerianin podążył za dziewczyną, z dłonią na rękojeści. Był pewien, że Yasmina nie zamierza zrobić mu krzywdy, w przeciwnym razie nie sprowadzałaby go w taki sposób, ale barbarzyński instynkt nakazywał mu zachowanie czujności.

Wspięli się kamiennymi schodami, potem pokonali dwa dalsze mroczne korytarze, aż wreszcie dziewczyna zatrzymała się przed drzwiami i zerknęła przez niewielki otwór osadzony na wysokości oczu. Szarpnęła ukrytą dźwignię i drzwi się otworzyły. Weszli.

— Zaczekaj tutaj, panie — szepnęła — a ja zawiadomię panią o twym przybyciu.

Wybiegła, szeleszcząc długą szatą. Conan wzruszył ramionami i rozejrzał się po komnacie.

Była urządzona z typowo wschodnim przepychem. Zdobily ją jedwabne kilimy, złote puchary, hafty usiane cennymi kamieniami, jednakże wyborny smak tonował te wszystkie bogactwa.

Sądząc po toalecie z kosztownym, turańskim lustrem, był to kobiecy buduar. Mebel zastawiony był słoikami z nefrytu, złota i srebra, które zawierały pachnidła i balsamy przygotowane przez najbieglejszych perfumiarzy Wschodu. Kobiecość ujawniała się także we wspaniałości wielkiego łoża, z nieprzejrzystymi zasłonami i baldachimem z shemickiego złotogłowiu.

Conan z uznaniem pokiwał głową. Chociaż był surowym wojownikiem, jako król nauczył się

doceniać dworskie piękno. Rozmyślenia przerwał mu jakiś odgłos za plecami. Odwrócił się z na wpół dobytym mieczem i znieruchomiał.

Przed nim stała Yasmina. Kiedy spotkał ją po raz pierwszy, była w pierwszym rozkwicie

kobiecości. Jak pamiętał, miała ledwie dwadzieścia wiosen. Teraz, stała się dojrzałą kobietą.

Dawna inteligencja, która umożliwiała jej utrzymanie się na tronie, nadal wyzierała z jej oczu, ale obcisłe jedwabne szaty zdradzały, że dziewczęca figura przemieniła się w ponętne, kobiece ciało.

I było ono tak piękne, że poeci zyskiwali sławę, opiewając je w swoich poematach. Urodziwą twarz rozjaśniło szczęście, gdy devi zatrzymała się trzy kroki od Conana, wyciągnęła ręce i wymruczała:

— Mój góralski wódz! Wróciłeś!

Conanowi krew zadudniła w skroniach. Jednym krokiem pokonał dzielącą ich odległość i wziął Yasminę w ramiona. Gdy jej pyszne ciało przytuliło się do jego piersi, wyszeptała:

— Nikt nam nie przeszkodzi, góralu. Odprawiłam strażników. Drzwi do tej komnaty są zamknięte. Kochaj mnie, góralu! Przez trzynaście lat pragnęłam poczuć siłę twych ramion. Nie zaznałam szczęścia od czasu naszego rozstania po bitwie w Dolinie Femesh. Weź mnie w ramiona i spraw, by ta noc stała się niezapomniana dla nas obojga!

W bogato umeblowanej komnacie, w innej części pałacu devi siedziało pięciu mężczyzn. Co pewien czas popijali ze złotych pucharów, słuchając wysokiego, smagłego przywódcy.

— Nadszedł czas! — mówił on. — Dzisiejszej nocy! Właśnie dowiedziałem się, że Yasmina odesłała żołnierzy strzegących jej komnat. Kobięcy kaprys, bez wątpienia, ale dobrze się nam przysłuży!

— Chengirze, panie — przerwał mu jeden z obecnych — czy zabijanie devi naprawdę jest konieczne? Walczyłem z Turańczykami na granicy i mieczem wyrąbywałem sobie drogę z góralskich zasadzek, ale nie podoba mi się myśl o zabijaniu z zimną krwią kobiety.

Wysoki mężczyzna uśmiechnął się złowieszczo.

— Mnie też nie, Ghemurze, lecz jest to konieczne dla dobra cesarstwa Vendhi. Królewska krew musi zostać odświeżona. Trzeba rozpocząć podboje, by umocnić naszą władzę. Devi osłabia kraj przez pokojowe rządy. My, rasa wojowników, tracimy czas na budowanie kanałów i dróg dla

brudnych niższych kast! Ona musi umrzeć! Wtedy ja, jako następca tronu, poprowadzę Kshatrijów na nowe podboje. Wyrąbimy nowe cesarstwo z ziem Khitai, z Uttara Kuru, z Turanu. Utopimy

himeliańskich górali w rzekach krwi. Wschód zadrży i zakołysze się pod kopytami naszych koni!

Dzień i noc, karawany obładowane łupami będą wędrowały do Ayodhyi. Jesteście ze mną?

Cztery zakrzywione miecze wysunęły się z okutych złotem pochew, a wodzowie głośnym

pomrukiem wyrazili swoje poparcie.

Księżę ruchem ręki nakazał im milczenie.

— Nie tak głośno, szlachetni. Pamiętajcie, że tutaj prawie wszyscy są wierni Yasminie. Tylko nieliczni wybiegają myślą w przyszłość tak, jak my. Gdybyśmy zdecydowali się na otwarty

przewrót, żołnierze i lud rozdarliby nas na strzępy. Dlatego ona musi umrzeć skrytobójczo...

Oczywiście ja, jako jej kuzyn i dziedzic, pilnie zajmę się poszukiwaniem zbrodniarzy. Będziemy musieli ściąć paru kozłów ofiarnych, oczywiście po wyrwaniu im języków. Gdy minie stosowny

okres żałoby zbiorę wojska i uderzę na północ i wschód. Moje imię będzie wysławiane na kartach historii na równi z wielkimi zdobywcami z przeszłości! — głos mu ścieniał z podniecenia, a oczy rozblęły złowrogo. Władczym gestem odprawił zebranych.

— Uzbróćcie się, i przywdziejcie maski. Przejdziemy do komnat Yasminy sekretnym

korytarzem. Nasz obowiązek względem cesarstwa zostanie spełniony w ciągu godziny!

Pięciu zamaskowanych wielmożów wyszło z komnaty, by poderżnąć gardło bezbronnej kobiecie.

Nikłe światło gwiazd wsączało się do komnaty królowej, gdy Conan przebudził się po raz drugi tej nocy. Jego czujny słuch wychwycił cichy, prawie niesłyszalny szmer. Każdy zwyczajny

człowiek zamruczałby sennie, przypisując niepokój szczerom albo złym snom, przewróciłby się na drugi bok i zasnął.

Ale nie Conan! Natychmiast w pełni przytomny, zastanowił się nad przyczyną swego

przebudzenia. Gdy jego lewa ręka odszukała rękojeść miecza i bezgłośnie wysunęła go z pochwy, prawa uchyliła zasłony. Obok spała Yasmina, z lekkim uśmiechem na pięknych ustach. Nie trzeba było błysku stali w rękach pięciu ciemnych postaci, niewyraźnie rysujących się w świetle gwiazd, by Conan odgadł, że devi grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Zamaskowani ludzie nie wdzierają się w nocy do komnaty królowej w pokojowych zamiarach. Conan z mieczem w dłoni i

wściekłością w sercu, kocim ruchem podniósł się na pięty. Zabójcy podkradli się bliżej, wznosząc sztylety do zadania zdradzieckich ciosów, które miały osadzić nowego władcę na tronie Vendhi .

Jeden odciągnął kotary królewskiego łóża.

Conan skoczył jak oszalały tygrys. Najbliższy mężczyzna padł z rozprutym brzuchem, nim

pozostali otrząsnęli się z zaskoczenia. Miecz Cymmerianina błysnął szybko jak atakująca kobra i hełm oraz głowa drugiego zostały rozłupane po brodę. Conan pchnął zabitego na innych, łamiąc ich

szyk, jednocześnie parując cios tego, któremu udało się uskoczyć przed walącym się trupem.

Strasliwym uderzeniem znad głowy odrąbał prawą rękę intruza. Kończyna upadła na podłogę, a

skrytobójca osunął się na nią. Potem Conan jak burza rzucił się na dwóch pozostałych, którzy desperacko wymachując szablami walczyli o życie. W oczach nagiego barbarzyńcy płonęła

czerwona furia, gdy zasypywał ich gardy potokiem ciosów. Starał się nie dopuścić do tego, by zaszedł go z dwóch stron.

— Mordować śpiącą kobietę? — warknął. — Tchórze! Szakale! Każdy zdradliwy Stygijczyk w porównaniu z wami jest wzorem honoru! Ale to wasza krew zostanie rozlana tej nocy, kundle!

Ostrze Conana zabłysło jak strzała śmiertelnoścnego światła. Stał odcięła głowę jednego z

przeciwników, a drugi cofnął się przed szaleńczym atakiem i został przyparty do ściany. Szybkie klingi tkały w świetle gwiazd lśniąca, skomplikowaną koronkę.

Yasmina stanęła obok łoża, obserwując rozgrywającą się przed nią scenę z zapartym tchem.

Nagle krzyknęła z przerażenia, gdy Conan pośliznął się w kałuży krwi i upadł na ciała poległych.

Vendhiański skrytobójca skoczył ku niemu z drapieżnym błyskiem w oku. Wzniósł szablę, gdy

Conan starał się wyplątać z szat pozostałych zbirów. Nagle napastnik otworzył usta, zachwiał się, rzucił broń i padł z okropnym charkotem. Za nim ukazała się naga Yasmina. Spomiędzy łopatek

martwego Kshatrija wystawała rękojeść sztyletu ukształtowana tak, by dobrze leżeć w kobiecej dłoni. Conan uwolnił się z krępujących go fałd płaszcza i wstał. Od stóp do głów był zboczony krwią, ale w jego błękitnych oczach płonął jak zawsze nie ugaszony ogień.

— Moje szczęście, żeś pośpieszyła się z tym sztyletem, dziewczyno! Gdyby nie ty,

dotrzymałbym towarzystwa tym łajdakom w piekle. Na Croma, to była przyzwoita potyczka!

Jej pierwsze słowa były wyrazem kobiecego niepokoju.

— Krwawisz, góralu! Chodź ze mną do łaźni, a opatrzę ci rany.

— To ich posoka, sam mam tylko parę zadrapań — burknął Conan, wycierając krew turbanem jednego ze skrytobójców. Niewielka to cena za zdławienie spisku.

— Bogom niech będą dzięki za to, że byłeś ze mną, gdyż inaczej ich misja zakończyłaby się pomyślnie — głos devi wibrował z emocji. — Nigdy nie przypuszczałam, że grozi mi taka śmierć!

Lud uważa moje rządy za sprawiedliwe, posiadam też poparcie armii i większości wielmożów.

Może to Yezdigerd z Turanu przysłał zamaskowanych zabójców do moich komnat?

— Yezdigerd już nie będzie cię niepokoił — mruknął Cymmerianin. — Nie żyje. Zabiłem go na jego własnym okręcie. Zedrzyj im maski!

Devi ściągnęła maskę z oblicza zasztyletowanego przez siebie człowieka i cofnęła się z wyrazem przerażenia na twarzy.

— Chengir! Mój własny kuzyn! Och, zdrada, czarna zdrada i szaleńcze pragnienie władzy!

Jutro stoczy się za to wiele głów!

Potrząsnęła czarnymi warkoczami i zwróciła ciemne, wyraziste oczy na nieodgadnioną twarz Cymmerianina.

— Teraz wiem, że potrzebuję małżonka. Władaj ze mną Vendhią, Conanie! Jutro ogłosimy

nasze zaręczyny, a w ciągu miesiąca odbędzie się weselna uczta i ceremonia, jakiej Vendhia nie widziała od setek lat! Kocham cię, góralu!

Objęła go żarliwie, prężąc się z rozpierającej ją energii. Przywarła do niego tak namiętnie, że w głowie Cymmerianina zawiroowało. Lecz on odsunął ją delikatnie i przytrzymał na długość wyciągniętych ramion.

— Crom wie, dziewczyno, żeś uczyniła mi kuszącą propozycję — powiedział. — Spotkałem

niewiele kobiet tak mądrych i pięknych jak ty. Każdy mężczyzna byłby zaszczycony twoją ręką i uważałby się za faworyta setki bogów. Dziesięć lat temu, gdy byłem wędrownym żołnierzem

fortuny, być może wyraziłbym zgodę. Teraz nie mogę. Posiadam własny kraj, Aquilonię na

Zachodzie, najpotężniejsze królestwo w świecie, a moja królowa została uprowadzona przez złego maga z Khitai i przysiągłem, że sprowadzę ją z powrotem. Nie byłbym mężczyzną, gdybym nie

dotrzymał danego słowa. Poślub jednego ze swych poddanych. Twój lud będzie wolał rządy kogoś z własnej krwi. Jutro wyruszam w Góry Himeliańskie.

W głębokich, promiennych oczach Yasminy zabłysła czułość i bezmiar miłości.

— Bogowie dają szczęście, by w chwilę później je odebrać. I może dobrze, bo gdyby życie

składało się tylko z chwil szczęśliwych, szybko przestalibyśmy je cenić — jej oczy rozjaśnił nagły



żar i na wargach devi zagrał figlarny uśmiech. — Jutro odchodzisz, ale do świtu zostało jeszcze kilka godzin. Spędźmy je na czymś bardziej przyjemnym niż rozmowa!

Znów zwarli się w płomiennym uścisku, podczas gdy gwiazdy spoglądały zimno w szkliste oczy niedoszłych morderców.

# VII

## DEMON ŚNIEGÓW

Mężczyzna sunął powoli przysypanym śniegiem szlakiem. Szedł pochylony, z oczami wbitymi w ziemię i rozszerzonymi nozdrzami niczym pies na tropie. Ludzka stopa nigdy nie tknęła terenów, po których się skradał, a przynajmniej nikt nie wrócił, by o tym opowiedzieć. Lodowe pustynie wyższych partii Gór Himelijskich otulone były wieczną mgłą. Zelvar Af polował samotnie, gdy natknął się na dziwne ślady na śniegu. Szerokie, głębokie odciski odległe od siebie co najmniej o cztery stopy świadczyły o niezwykłej wielkości stworzenia, które je zostawiło. Zelvar Af nigdy nie widział podobnych tropów, ale wspominał upiorne legendy opowiadane przez białobrodych starców w krytych słomą chatach górskich wiosek. Z bez troską pierwotnego barbarzyńcy Zelvar Af otrząsnął się z obaw. Prawda, był sam i kilka dni drogi od domu, ale czyż nie był największym myśliwym Wamadzi? Podwójnie wygięta krzywizna jego hyrkańskiego łuku podziałała krzepiąco, gdy zacisnął na nim rękę, przepatrując śniegi. Bezgłośnie podążył białym szlakiem.

Nie dostrzegał ani nie słyszał nic niepokojącego. Okryte śniegiem zbocza rozciągały się przed nim w swym białym dostojności. Dalej rysowały się postrzępione sylwetki innego potężnego grzbietu. Nigdzie ani śladu życia. Lecz nagle dotknęło go lodowate muśnięcie strachu, przecucie, że czyha na niego coś rodem z ciemnych krain na kresach. Obrócił się, a jego brązowa ręka sięgnęła po ciężki, zhaibarski nóż.

Krew zamarzała w żyłach Zelvara. Jego oczy otworzyły się szeroko na widok olbrzymiej białej postaci, która sunęła ku niemu przez śnieg. Człekopodobna istota, jakby pozbawiona twarzy, szybko dopadła skamieniałej ze strachu ofiary. Zelvar wrzasnął z przerażenia i zamachnął się nożem. Potem zacisnęły się wokół niego lodowate, włochate ramiona. Na białym pustkowiu znów zapanowała cisza.

— Na pioruny, jak dobrze jest znów być wśród górali! — dalsze słowa zostały zagłuszone przez dudnienie na wpół ogryzionej wołowej kości o nieheblowane deski topornego stołu. Dwudziestu ludzi zebrało się w wielkiej chacie naczelnika Khirgulisów. Byli tu naczelnicy z sąsiednich wiosek i starszyzna plemienia Khirguli. Wszyscy dzicy i ogorzali. Mieli na sobie surowe, mocne góralskie kozuchy z owczych skór i wysokie buty. Porozpinali obszerne, futrzane płaszcze, ukazując barbarzyński splendor bakhariockich pasów i rękojeści ze złota i kości słoniowej.

Najokazalszą postacią nie był jednakże żaden z tych dzikich mieszkańców gór. Ich uwaga

skupiała się na Conanie Cymmerianie, który zajmował honorowe miejsce u szczytu stołu. Długa i barwna była jego opowieść, bowiem minęło ponad dziesięć lat, od kiedy jego stopy wędrowały krętymi ścieżkami Gór Himeliańskich.

— Zatem, myślę, że od tej pory nie będziecie mieć kłopotów ze strony Turanu — błyski igrały w głębi błękitnych oczu Conana, gdy opowiadał o swych niedawnych przeżyciach. — Zabiłem Yezdigerda na pokładzie jego okrętu, gdy krew cesarskich gwardzistów z szumem omywała mi kostki. Skoro nie ma następcy tronu, to rozległe cesarstwo zostanie wkrótce rozdarte między niedawnych lenników Shahów i Aghasów.

Siwobrody naczelnik westchnął i pokiwał głową.

— Nieczęsto widzieliśmy Turańczyków od czasu, jak twoi Afghulisi i Kshatrijasi devi Yasminy pokonali ich w Dolinie Femesh. Także jeźdźcy z Vendhi nie najeżdżali nas od dnia tej bitwy, a i my dotrzyśmyśmy niepisane porozumienia o zawieszeniu broni, powstrzymując się od napadania na ich stacje. Prawie zacząłem tęsknić za starymi dniami, gdy ciskaliśmy kamienie na ich spiczaste hełmy i w każdej rozpadlinie zasadzaliśmy się na odzianych w zbroje włóczników.

Conan uśmiechnął się na to wspomnienie, lecz jego myśli krążyły wokół niedawnej wizyty w Vendhi. Trudno było zapomnieć o smukłej, czarnowłosej kobiecie o oczach pełnych łez. Yasmina stała na murach i powiewała jedwabnym woalem, gdy on odjeżdżał galopem ku zamglonym górom.

Tęgi, brodaty naczelnik odchrząknął i powiedział:

— Rozumiemy, że masz do spełnienia nie cierpiące zwłoki zadanie, Conanie, ale posłuchaj naszej rady i omiń granie Talakmanu. Dzieją się tam dziwne i okropne rzeczy. Mówi się, że wróciły tam śnieżne demony ze starych mitów.

— Czym są te śnieżne demony, które posiały strach nawet w nieustraszonych sercach ludu Ghulistanu? — zapytał Conan.

Naczelnik pochylił się i odparł drżącym głosem:

— Diabły z czarnej głębinny nawiedzają śnieżne grzbiety Talakmanu. Znajdywano ludzi z połamanymi grzbietami, rozszarpanych przez coś obdarzonego nadludzką siłą. Ale najgorsze jest to,

że wszystkie ciała, nieważne jak dawno nastąpiła śmierć, były przemarznięte do szpiku! Ich palce i członki były tak kruche, że pękały niczym lodowe sople!

— Dzięki za ostrzeżenie — rzekł Conan ponuro. — Ale nie mogę omijać Talakmanu.

Kosztowałoby mnie to dwa miesiące, a muszę podróżować jak najkrótszą drogą. Nie mam czasu.

Starali się go jeszcze przekonać, ale na próżno. Conan wstał ociężale i udał się do drugiej izby, by wypocząć na posłaniu z grubych futer, podczas gdy jego towarzysze ociągali się z wyjściem, potrząsając głowami i pomrukując z obawą.

Wicher zawodził posepnie, gdy Cymmerianin pokonywał śnieżną równinę. Lodowate

podmuchy ciskały w twarz tumany śniegu i przenikały grubą futrzaną opończę. Na ramieniu

Conana wisiał worek pełen zapasów na drogę: suszone mięso i gruby chleb. Oddech dobywał się z nozdrzy potężnymi pióropuszcami pary. Barbarzyńca był w drodze od kilku dni, przemierzając

śniegi lekkim, długim krokiem górala. W nocy spał w wygrzebanych naprędce śnieżnych jamach, a świt znów zastawał go na nogach. Drogę wielokroć przecinały rozpadliny. Czasami jego

umięśnione nogi pokonywały je jednym, potężnym skokiem. Kiedy indziej musiał obchodzić je

albo opuszczać się na linie w ich głąb i mozolnie wspinać po przeciwnej stronie. Nieskończone śniegi były prawie pozbawione życia. Raz zaatakował go wygłodniały śnieżny lampart, ale Conan udaremnił jego zamiary błyskawicznym ciosem miecza. Zwierzę potoczyło się w konwulsjach po

śniegu, wypluwając życie wraz z krwią. Zostawił je na zawsze w wieczystym mrozie.

Gdy śnieżyca ustała, Conan otarł z twarzy lodowe okruchy, zatrzymał się i rozejrzał. Za nim

rozciągała się nieskończona biała równina, przerywana przez huczące otchłanie i ciemne nagie skały. Daleko w przodzie wypatrzył niewyraźną krawędź opadającego w dół stoku — zapowiedź

końca morderczej wędrówki pod górę. Raptem jego bystre, błękitne oczy wysledziły coś jeszcze. Z

nagłym zainteresowaniem Conan zbliżył się, by sprawdzić, co to takiego. Zatrzymał się i zbadał

dziwne ślady stóp, które zwróciły jego uwagę. Były niepodobne do widywanych, przypominały

niecico odciski łap niedźwiedzia. Ale żaden niedźwiedź nie zostawia tropów tak wielkich, poza tym, brakowało śladów pazurów, a palce były dziwnie rozstawione. Tropy musiały zostać zrobione

niedawno, gdyż były tylko częściowo przysypane śniegiem. Przebiegały obok wysokiej krawędzi

lodowca. Conan podążył ich śladem, czujny jak skradająca się pantera...

Nawet jego niesamowita szybkość nie pozwoliła mu uniknąć potwornej postaci, która nagle skoczyła nań z góry. W przelocie ujrzał bezkształtne kończyny i pozbawioną rysów twarz. Potem został uderzony z taką siłą, że powietrze uciekło mu z płuc.

Z powodu szybkiej reakcji Conana włochate, węzowe ramiona nie zdołały objąć go szczelnie.

Wyśliznął się z nich nieco, ale nie zdołał się wyrwać. Walczył szaleńczo, by uwolnić prawą rękę i ciąć napastnika mieczem, ale nawet jego nadludzka siła zdawała się dziecięcą wobec demonicznej mocy potwora. A potem straszny, bezkształtny pysk zniżył się, jak gdyby chcąc zajrzeć prosto w oczy barbarzyńcy. Upiorne zimno zaczęło spowijać jego członki i pożerać umysł. W chwili

przerażającego olśnienia Conan pojął, że ma przed sobą wcielenie zła z ciemnych krain

zamieszkałych przez stwory polujące na ludzkie dusze. Nieprzemienne siły chciały zdruzgotać jego rozsądek. Lodowate krople potu spłynęły mu z czoła.

Słabszy człowiek uległby tej nieznannej, przytłaczającej mocy, ale cywilizowane obyczaje były tylko cienką powłóczką na barbarzyńskiej duszy Conana. Do głosu doszły jego zwierzęce

instynkty. Pragnienie przeżycia sprawiło, że mięśnie napięły się w jednym potężnym wysiłku.

Drąc futro i ubranie, wyrwał lewą rękę i trzasnął w puste oblicze.

Pod wpływem tego ciosu potwór zawył przeszywająco i rozluźnił ucisk.

Pierścień!

Pierścień Rakhamona, dar Peliasa obdarzony nieznanymi magicznymi mocami! Śmiercionośna broń przeciwko lodowatej nicości, która wydierała dusze z ludzi pozostawiając ich ciała w śniegach połamane i zamrożone!

Conan uderzył drugi raz i wycie przemieniło się w ogłuszający wrzask, a biały potwór ze strachu przed pierścieniem rzucił się do ucieczki. Conan z radosnym okrzykiem ruszył do ataku!

Używając ostrego pierścienia niczym broni, dziko tłukł białą postać.

Potwór rycząc przenikliwie umykał przez śniegi, biała posoka zaś ciekła z jego ran. Conan ścigał go niczym duch zemsty.

Nogi zawiodły potwora na krawędź lodowej szczeliny, gdzie zatrzymał się, zapędzony w kozioł, rozdygotany i drżący. Conan bezlitośnie trzasnął upierścienioną pięścią w jego tułów. Z

nieziemskim wrzaskiem potwór zatoczył się do tyłu. Przez chwilę walczył o odzyskanie równowagi, potem z przeciągłym zawodzeniem runął w bezdenną otchłań.

Conan otrząsnął się jak wilk po łowach.

— Zaprawdę, Pelias dał mi cenną błyskotkę — mruknął. — Niech ospa padnie na wszystkie śnieżne diabły! Ten wrócił do swych piekielnych dziedzin. Teraz w drogę, skoro jutro mam dotrzeć do przełęczy.

# VIII

## SMOK KHITAI

Było to dwudziestego piątego dnia po przekroczeniu khitajskiej granicy.

Jałowe krainy graniczące z olbrzymią Pustynią Wuhuan, bezludne z wyjątkiem rozproszonych hord półdzikich nomadów, były poprzecinane rozległymi trzęsawiskami i moczarami. Wodne ptactwo wirowało chmurami nad tymi sadzawkami stojącej wody. Czerwonookie, złe bawoły parskały w wysokim sitowiu. Brzęczały roje kąśliwych owadów, a tygrysy na łowach ryczały chrapliwie. Conan potrzebował wszystkich swych umiejętności nabytych w kushyckich dżunglach i bagnach otaczających Morze Vilayet, by przebyć te niegościnnie tereny. Korzystał ze specjalnych, splecionych z trzciny butów i budowanych naprędce bambusowych tratw.

Potem skończyły się moczary, a zaczęła się dżungla, wcale nie łatwiejsza do przebycia. Ciężki zhaibarski nóż Conana niewiele odpoczywał w pochwie, ale żelazne muskuły i upór olbrzymiego

Cymmerianina nigdy nie słabły. Te obszary bezludnej dziś dziczy były bogate i cywilizowane w czasach, gdy słońce zachodniej cywilizacji ledwo wschodziło. Tu i ówdzie Conan natykał się na skruszone ruiny świątyń, pałaców oraz całych miast, martwych i zapomnianych od tysiący lat.

Puste okna gapiły się obojętnie jak oczodoły czaszek. Liany obrastały zniszczone pomniki dziwacznym bogów. Skrzeczące małpy wrzaskliwie wyrażały swoje niezadowolenie z wtargnięcia barbarzyńcy w okryte zielenią mury.

Dżungla stopniowo przeszła w faliste równiny, gdzie pasterze o skórze barwy szafranu pilnowali swoich stad. Za tym krajem, za wzgórzami i dolinami, biegł Wielki Mur Khitai. Conan wypatrywał go ponuro. Z tysiącem twardych aquilońskich wojowników, wyposażonych w tarany i katapulty, łatwo dokonałby wyłomu w tym potężnym umocnieniu. Przedarłby się do Khitai zanim z innych części muru nadciągnęłyby posiłki.

Ale nie miał tysiąca żołnierzy z oblężniczymi machinami, a musiał przejść na drugą stronę

Wielkiego Muru. Pewnej ciemnej nocy, gdy księżyc skrył się za chmurami, wspiał się z pomocą liny i ciosem w hełm ogłuszył strażnika. Potem barbarzyńskim niezmordowanym truchtem

pokonywał trawiaste równiny.

Dalej znów zaczęła się dżungla. Tutaj jednakże widniały znaki świadczące o obecności człowieka, których brakowało wcześniej. Poszycie, splątane wokół pędów bambusa, było niezwykle gęste, ale wiły się w nim ścieżki wycięte ludzką ręką. Z drzew zwisały festony porostów, w listowiu śpiewały wesoło upierzone ptaki. Z daleka dobiegał ryk polującego lamparta.

Conan przemykał ścieżką niczym zwierzę zrodzone do życia w dżungli. Z wiadomości, jakie uzyskał od uwolnionego khitajskiego galernika wywnioskował, że znajduje się w dżungli sąsiadującej z państwem — miastem Paikang. Khitajczyk powiedział, że przebycie pasa lasów zajmuje osiem dni. Conan miał nadzieję, że on dokona tego w cztery. Czerpiąc z nieograniczonych zapasów barbarzyńskiej witalności, mógł zdobywać się na wysiłki niewyobrażalne dla innych. Teraz jego celem było dotarcie do jakiejś osady. Mówiono, że leśny lud żyje w strachu przed okrutnym paikangskim władcą, zatem Conan liczył na znalezienie przyjaciół, którzy udzielą mu dalszych wskazówek.

Niesamowita atmosfera bambusowej dżungli napierała nań nieledwie z fizyczną siłą. Nie naruszona poza wąskimi ścieżkami, niezbadana dzicz zdawała się znać odpowiedzi na tajemnice eonów. Enigmatyczna aura zadumy spowijała żółte pędy bambusa, pnące się ze wszystkich stron ku słońcu. Historia tego kraju sięgała głęboko w przeszłość, do czasów, gdy na zachodzie nie rozpalono jeszcze pierwszego ognia. Rozległa i starożytna była wiedza zgromadzona przez tutejszych filozofów, artystów i czarnoksiężników.

Conan otrząsnął się z tego przygnębiającego nastroju i mocniej ujął rękojeść miecza. Jego buty stąpały bezszelestnie po gnijących liściach. Zmysły były wyostrzone i czujne. Szedł jak wilk, który wyprawił się na terytorium innego stada. Przegniłe liście zaszeleściły nagle. Wielki wąż, szary jak łupek, z ognistym zygzakiem na grzbiecie, wzniosł łeb ze swej kryjówki. Uderzył gwałtownie, obnażając, ociekające jadem kły. W tej samej chwili stal Conana odrąbała łeb gada, który zaczął skręcać się w przedśmiertnych podrygach. Conan z ponurą miną otarł ostrze i ruszył dalej.

Raptem zatrzymał się. Stał nieruchomo jak posąg, nasłuchując, rozdymając nozdrza, by wychwycić najśłabszy nawet zapach. Usłyszał szcęk metalu, a po chwili głosy. Ruszył szybko i ostrożnie. Sto kroków dalej ścieżka skręcała ostro. Jego bystre oczy dostrzegły tam przyczynę



niepokoju.

Na małej polanie dwaj potężni żółtoskórzy Khitajczycy przywiązywali do drzewa dziewczynę.

W przeciwieństwie do większości mieszkańców Dalekiego Wschodu obaj mężczyźni byli wysocy i potężnie zbudowani. Zbroje z płytek laki i lśniące hełmy nadawały im złowieszczy wygląd. U ich boków, w także wyłożonych laką, drewnianych pochwach wisiały długie, zakrzywione miecze. Na ich płaskich twarzach malowało się okrucieństwo i brutalność.

Dziewczyna szamotała się błagając o litość w śpiewnym, potoczystym języku Khitai. Conan w czasach, gdy służył jako najemnik cesarza Turanu, poznał nieźle ten język i teraz potrafił zrozumieć słowa.

Skośnooką twarz dziewczyny cechowało orientalne piękno. Jej błagania nie wywierały najmniejszego wrażenia na mężczyznach, którzy nie przerywali swego zajęcia. Conan poczuł wzbierający gniew. Dziewczyna miała zostać złożona w ofierze! Zapamiętał tępił ten ohydny obyczaj w zachodnim świecie, ale na Wschodzie był on nadal powszechny. Krew zawrzała mu na ten widok. Bez namysłu wypadł z ukrycia, z dobytym mieczem.

Trzask łamanej gałęzi dotarł do uszu khitajskich żołnierzy. Obrócili się w jego stronę, a ich oczy rozszerzyły się ze zdumienia. Potem obaj wyciągnęli broń i z arogancką pewnością siebie przygotowali się, by odeprzeć atak barbarzyńcy. Nie odezwali się, ale dziewczyna krzyknęła: — Uciekaj! Nie próbuj mnie ratować! To najlepsi szermierze w Khitai! Należą do straży przybocznej Yah Chienga!

Imię wroga wprowadziło Conana w tym większą wściekłość. Zmrużył oczy i zaatakował Khitajczyków jak szarżujący byk. Być może ci dwaj nie mieli sobie równych w Khitai, ale w porównaniu z oszalałym Conanem byli niczym źdźbła trawy na wietrze. Ostrze barbarzyńcy zawirowało w lśniącym tańcu śmierci. Cymmerianin zamarkował cios i uderzył, miażdżąc zbroję i kość ramieniową głowicą wieńczącą rękojeść, a potem poprawił sztychem. Pierwszy żółtoskóry runął na ziemię zalany krwią.

Drugi zaatakował sycząc jak wąż. Przez pewien czas ostrza zderzały się z brzękiem. Potem

gorsze khitajskie żelazo pękło pod ciosem aquilońskiej stali. Czubek klingi przebił zbroję i znalazł serce żołnierza.

Dziewczyna śledziła walkę rozszerzonymi oczami. Kiedy Conan wyskakiwał z ukrycia, pomyślała, że jest jednym z jej krewnych bądź przyjaciół, którzy przybyli na ratunek.

Teraz zobaczyła, że był to biały cudzoziemiec z legendarnych krain leżących na zachód od Wielkiego Muru i Pustyni Wuhuan. Czy pożre ją żywcem, jak utrzymywały legendy? Czy też powlecze do swej ojczyzny jako niewolnicę, by zakuta w łańcuchy harowała w brudnych lochach do końca życia?

Jej obawy wkrótce zmalowały, gdy Conan z szerokim uśmiechem przeciął jej więzy. Z uznaniem popatrzył na jej figurę, lecz niejako łowca oceniający wartość niewolnika, a jak wolny mężczyzna patrzący na wolną kobietę. Policzki nabiegły jej krwią na widok szczerego podziwu w jego błękitnych oczach.

— Na Croma! — zawołał okrutnie kalecząc słowa. — Nie miałem pojęcia, że w tych żółtych krainach płodzą tak piękne kobiety! Wygląda na to, że powinienem odwiedzać częściej te strony!

— Biali rzadko zawitują do Khitai — powiedziała. — Twoje przybycie i zwycięstwo to dary zesłane przez niebian. Gdyby nie ty, ci dwaj — wskazała na trupy — pozostawiliby mnie bezbronną na pastwę przerażającego potwora, którego Yah Chieng wypuścił do dżungli.

— Przysięgłem wyrównać rachunki z tym łajdakiem! — warknął Conan. — Wydaje się, że zarazem wyrównam i twoje. O jakim to potworze mówisz?

— Nikt go jeszcze nie spotkał i nie przeżył, by mówić. Ludzie szepczą, że arcymag wyczarował potwora z prochu zapomnianych wieków, kiedy po łądach chodziły dyszące ogniem bestie, a ziemią wstrząsały trzęsienia ziemi i wybuchy. Potwór utrzymuje kraj w strachu, a jego pan często żąda ofiar z ludzi. Żołnierze zabierają najpiękniejsze kobiety i najzdolniejszych mężczyzn, by karmić nimi tę bestię.

— Coś mi się zdaje, że nie jest to zdrowa okolica — skwitował Conan. — Chociaż nie boję się tego twojego straszdyła, byłbym rad, gdyby nie stanęło mi w drodze do Paikangu. Czy twoja wieś jest

daleko?

Nim zdążyła odpowiedzieć, zatrzeszczało poszycie. Bambusowe pędy zakołysały się i chrapliwy ryk dotarł do ich uszu.

Conan z ponurym uśmiechem uniósł miecz, dziewczyna zaś skurczyła się za szerokimi plecami barbarzyńcy.

Cymmerianin czekał spięty jak tygrys.

Z gąszczu wyłoniła się pokryta łuską kreatura. W powietrzu rozbrzmiał ogłuszający warkot. Od pyska do spiczastego, najeżonego kolcami ogona stwór mierzył piętnaście kroków. Jego krótkie, wygięte łapy były uzbrojone w ostre, zakrzywione pazury. Szczęki miał ogromne, pełne zębów, wśród których dominowały wygięte jak szable kły. Potężne wybrzuszenia po bokach łba zdradzały obecność potężnych mięśni, które wprawiały w ruch paszczę. Pokryta łuskami skóra miała odrażający, ołowiany odcień, a smrodliwy oddech cuchnął trupio.

Potwór znieruchomiał w promieniach słońca, mrugając wyłupiastymi ślepiami. Conan wykorzystał tę chwilę.

— Wejdz na to drzewo! Tam cię nie dosięgnie! — krzyknął do sparaliżowanej ze strachu dziewczyny.

Khitajka ocknęła się i niezwłocznie wykonała polecenie, a Conan znów skupił uwagę na monstrualnym jaszczurze. Był to jeden z najokropniejszych przeciwników, jakim kiedykolwiek stawiał czoło. Opancerzeni rycerze, zręczni dzicy wojownicy, spragnione krwi drapieżniki i podstępni truciele byli niczym w porównaniu z tą gigantyczną machiną zniszczenia, która właśnie ruszyła ku niemu.

Ale najlepszy łowca z gór Cymmeri, dżungli Kush i turańskich stepów nie był łatwym kąskiem.

Conan nie cofnął się, bo gdyby uciekł lub wspiął się na drzewo, smok mógłby zainteresować się dziewczyną. Na chwilę przed tym, nim potężne szczęki zatrzasnęły się na jego ciele, uskoczył na bok. Potwór był tak rozpędzony, że impet rzucił go w krzaki.

Szybciej niż się Conan spodziewał, bestia wśród ryku i trzasku łamanych gałęzi wyplątała się z zarośli i znów zaszarżowała. Cymmerianin podbiegł do kępy bambusów, po czym ciał u podstawy

smukły, zdrewniały pęd. Kolejne cięcie oddzieliło liściastą koronę i zostawiło ostry jak igła szpic.

Z tą długą na dziesięć stóp piką, Conan rzucił się na przeciwnika.

Wraził czub w rozdziawiony pysk i dalej, w ciemność gardzieli, głęboko w miękkie ciało.

Olbrzymie szczęki zatrzasnęły się kurczowo, odgryzając drzewce o stopę od ręki Conana, a ruch łba odrzucił barbarzyńcę pięć kroków dalej.

Przerażający gad zakotłował się w agoni, charcząc z bólu. Conan wstał ciężko. Miał wrażenie, że wszystkie mięśnie zostały oderwane od kości. Ręka go bolała, gdy wyciągał miecz, jednakże czysta siła woli podporządkowała sobie poobijane ciało. Potykając się ruszył do przodu i udało mu się ominąć bijący ziemię ogon i kłapiące szczęki.

Z ponurą determinacją włożył całą siłę w jeden potężny cios w oko potwora. Ostrze wniknęło

łatwo niczym nóż w osełkę masła. Ostatnie konwulsje dogorywającej bestii wyrwały

Cymmerianinowi rękojeść z dłoni. Znów został przewrócony na ziemię, ale smok zadygotał po raz ostatni i znieruchomiał.

Conan odetchnął głęboko, pozbierał się i pokuśtykał do drzewa, na którym kulila się dziewczyna.

— Starzeję się chyba — wymruczał między kolejnymi sapnięciami. — W dawnych czasach tak drobna potyczka nie pozbawiłaby mnie tchu!

Potrząsnął głową i ryknął gardłowo:

— Schodź, dziewczyno! Smokowi zaszkodził bambus. Prowadź mnie do swej wioski!

# IX

## TANIEC LWÓW

Pasma wonnego dymu z żółtego lotosu wiły się w słabo oświetlonej, bambusowej chacie, zmierzając do dziury w suficie. Wysnuwały się z rzeźbionego, jaspisowego ustnika misternej fajki wodnej i ze ściągniętych pomarszczonych ust sędziwego Khitajczyka, który ze skrzyżowanymi nogami siedział na trzcinowej macie. Twarz starca przypominała żółty pergamin, a na jego barkach osiadło prawie osiem dziesiątków lat. Jednakże wciąż promieniował młodzieńczą energią oraz spokojem myśli. Trzymał ustnik w lewej ręce, pykając powoli i czerpiąc radość z narkotycznych oparów. Jego oczy lustrowały wielkiego, białego mężczyznę, który siedział przed nim na niskim stołku i pochłaniał ryżowy gulasz podany przez uratowaną dziewczynę.

Ona miała na sobie skromny kaftan z wysokim kołnierzem i haftowane spodnie. Strój podkreślał jej skórę o złotym odcieniu i wielkie, głębokie skośne oczy. Z lśniąco włosami zaczesanymi w skomplikowaną fryzurę zupełnie nie przypominała potarganej, na wpół nagiej i przerażonej dziewczyny, którą Conan uratował przed ludźmi i potworem. Jedząc wspominał jej gorące uściski w czasie godzinnego odpoczynku w dżungli, kiedy w wybuchu orientalnej namiętności nagrodziła go za okazaną odwagę.

Podróżowali przez jeden dzień i jedną noc, zatrzymując się tylko wtedy, gdy dziewczyna potrzebowała odpoczynku. Kiedy była już zupełnie wyczerpana, Cymmerianin zarzucił ją na szerokie ramiona, nie dając swym niezmordowanym nogom chwili wytchnienia. Wreszcie ścieżka w dżungli zakończyła się szeroką polaną. Nad strumieniem, w którym co chwila pluskały ryby, stał tuzin bambusowych chat krytych gontami. Wyłonili się z nich ludzie o żółtych i jakby wyciosanych z drewna twarzach, z mieczami i włóczniami wymierzonymi w intruza. Chwilę później wszyscy zaczęli krzyczeć z radości na widok zbawcy krewniaczki.

Ludzie ci byli uciekinierami, którzy schronili się tu przed tyranią Yah Chienga Straszliwego. Żyli w ciągłym strachu, bojąc się, że w każdej chwili spadnie na nich horda bezlitosnych wojowników czarnoksiężnika.

Conan wytarł usta i pociągnął z czary ostatni łyk ryżowego wina. Uważnie wsłuchał się w słowa gospodarza:

— Tak, potężny był ród Kang, którego ja, Kang Hsiu, jestem głową. A najpiękniejszym ze wszystkich państw — miast północnej Khitai był Paikang o purpurowych wieżach. Krocie wspaniałych wojowników chroniły nas przed zakusami Shu–chena z północy i Ruo–gena z południa. Ziemie były żyzne, a zbiory zawsze obfite. Ja mieszkałem w pałacu w Paikangu w otoczeniu dobrodziejstw naszej starożytnej cywilizacji.

Potem przyszedł Przekłety. Pewnej ciemnej nocy jego hordy natarły na nas z południowego wschodu niczym nieugaszony pożar. Nasze armie zostały zmiecione przez jego ciemną sztukę.

Pochłonęły je trzęsienia ziemi, magiczne pożary i zarazy. Potem piekielne psy Przekłętego zajęły nasze piękne miasto. Paikang został złupiony, utonął w krwi, tysięcznych pożogach i

nienazwanych okrucieństwach. Ja, moja rodzina i kilkoro sług uciekliśmy na rączych wielbłądach.

Po wielu niebezpieczeństwach znaleźliśmy to schronienie. Wątpię, czy Yah Chieng wie o nas.

Gdyby było inaczej, już zostalibyśmy wymordowani. Kang Lou–dze, moją córkę, porwano w

wiosce leżącej o kilka li dalej. Tutaj nie zagląдают nawet myśliwi. Wygląda na to, że znajdujemy się w beznadziejnym położeniu. Jest nas ledwie garstka, a przeciw sobie mamy magiczną potęgę i tysiące dobrze uzbrojonych żołnierzy. Jednakże gnębiony podatkami i klepiący biedę lud tęskni za minionymi dniami spokoju, wolności i zamożności. Wieśniacy powstaliby, gdyby tylko mieli

okazję. Ale wodzowie Yah Chienga przyciskają ich karki żelaznymi obcasami. Jego zbrojni

panoszą się po ulicach miast jak zdobywcy z biczami w dłoniach. Ten stan rzeczy trwa od dwóch dziesiątków lat i nasze nadzieje stale maleją. Umarłyby, gdyby nie proroctwo, w którym wszyscy pokładamy niezachwianą wiarę.

Conan słuchał w milczeniu, ale teraz ciekawość pchnęła go do zadania pytania:

— Co mówi to proroctwo?

— Moja żona, matka Kang Lou–dze, była obdarzona dziwnymi mocami. Rozumiała mowę

ptaków, a ja sam często widywałem, jak dzikie bestie wychodziły z dżungli i lizały jej ręce. Kiedy spadło na nas to nieszczęście, jeden z żołdaków Yah Chienga znalazł drogę do jej komnaty i

powalił ją, gdy modliła się do naszych bogów. Przybyłem zbyt późno, by ją uratować, ale gdy

stałem z ociekającym mieczem nad ciałem jej mordercy, ona skinęła na mnie z podłogi. Leżąc w kałuży krwi, wyszeptała do mego ucha:

„Moje dni kończą się. Uciekaj, by uratować naszą rodzinę. Ukryj się i czekaj. Nie rozpaczaj.

Bowiem z zachodu przyjdzie wojownik taki, jakiegoś nigdy nie widział, o wielkim i szlachetnym sercu. W gniewie zmiażdży obcasem tego demona jak węża. Będzie człowiekiem o białej skórze i wielkiej sile, królem własnego ludu, i uderzy w uzurpatora jak grom. Bogowie są z nim i Paikang raz jeszcze będzie...”

W tej chwili krew spłynęła z jej ust i wyzionęła ducha. Byłem wstrząśnięty, ale posłuchałem.

Zabrałem swoje dzieci i wraz ze sługami uszliśmy sekretnym przejściem.

Przez wszystkie te lata czekaliśmy na białego wojownika. Snuliśmy marzenia o jego

wspaniałych wojskach i mieliśmy nadzieję, że zobaczymy jego proporzec na wieżach Paikangu.

Ale tylko nieliczni nomadowie przybywali zza Wielkiej Pustyni i nasze nadzieje malały wraz z upływem lat. Z wyjątkiem najemników, których Yah Chieng pojmał w zeszłym roku, ty jesteś

pierwszym człowiekiem o białej skórze, który przybył z zachodu w czasie tych długich lat, ale proroctwo mówiło, że nasz wybawiciel będzie królem i zdobywcą. Ty jesteś sam, bez armii i masz na grzbiecie tylko ubogą opończę pustynnego nomada.

Na twarzy Conana błysnął szeroki uśmiech. Barbarzyńca tupnął w podłogę i zagrzmiął:

— A kto powiedział, że nie jestem królem, starcze? Jestem i to najpotężniejszego królestwa

Zachodu, dalekiej Aquilonii. Sam je zdobyłem i własnymi rękami zdusiłem tyrana, który zasiadał

na tamtejszym tronie. Jestem biały, a moja siła pozwala mi mierzyć się z zawodowymi dusicielami.

Czyż nie pasuję do proroctwa?

Starzec podniósł głowę, jednocześnie ożywiony i pełen niewiary.

— Prawda to, Conanie? Jesteś królem? Zatem to, com zmilczał, również musi być prawdą!

Moja umiłowana żona rzekła, że nasz zbawca pojawi się w ciągu dwudziestu lat po naszej klęsce.

Bogom niech będą dzięki! Odprawimy dziś modlitwy i dziękczynienia. Jutro jesteśmy na twoje rozkazy! Czy poprowadzisz nas?

Conan roześmiał się gromko.

— Nie tak szybko, przyjacielu! Nawet ja, który nie jestem wolny od głupoty, nie pognam na

oślepię w paszczę tego łajdaka z dwudziestoma ludźmi. Bogowie pomagają tym, którzy korzystają ze swego rozumu. Musimy dobrze obmyśleć plan...

Jego dalsze słowa zagłuszyły radosne krzyki zgromadzonego przed chatą i wezwanego przez Kang Lou—dze tłumu. Conan z powagą przyjął pokorny hołd tego ludu, w którego oczach był ostateczną nadzieją wybawienia od tyranii.

Trwała narada starszyny khitajskiej wioski wyrzutków. Cymmerianin siedział niedbale na trzciniowych matach, z dzbanem wina w ręce, wpatrując się w swoich nowych sprzymierzeńców. Powietrze było gęste od wonnego dymu lotosu palonego w fajkach wodnych.

— Wejście do pałacu Przekłętego nie będzie łatwym zadaniem — powiedział wysoki, skośnooki mężczyzna o twarzy zniekształconej przez bliznę na czole. — Jego przeklęte straże pilnują go w dzień i w nocy, a nadto w grę wchodzi jego własne, nieziemskie moce. Nasi ludzie nie mają broni, a bezpośredni atak na potężnie ufortyfikowaną cytadelę w ogóle nie wchodzi w rachubę.

— Masz rację, Leng Chi — przyznał Kang Hsiu. — Lecz podstęp i fortel brukują drogę do zwycięstwa. A ja znam sposób, który może nas doprowadzić do cytadeli. Za tydzień Yah Chieng wydaje doroczną ucztę dla uczczenia podboju Paikangu. Najważniejszym momentem uroczystości jest zawsze Taniec Lwów, wykonywany według starożytnego ceremoniału. W ten sposób Yah Chieng zaspokaja przywiązanie ludu do widowisk i tradycji. Tylko w tym czasie bramy są otwarte i lud przyjmowany jest na wielkim dziedzińcu. Ale nie potrafię sobie wyobrazić, na ile może to nam pomóc, gdyż musimy zabrać z sobą króla Conana, a on ma jasną skórę i okrągłe oczy. Nie zdołamy też go przebrać, bowiem zbyt wyróżnia się spośród wszystkich ludzi. Oczywiście, moglibyśmy użyć skrzyni...

— Nic z tego, przyjacielu — przerwał mu chrapliwy głos Conana. — Na leżenie bez ruchu w trumnie — mam jeszcze czas! Ale ten Taniec Lwów podsunął mi pewien pomysł. Słyszałem o nim od podróżników. Czyż tancerze nie noszą kostiumów z wielką lwią głową? — Pod koniec uczy chyba mogą też wślizgnąć się do zamku. Potem będę radził sobie sam. Jediną przeszkodą jest strój



tancerza. Tutaj zapewne takiego nie macie, a sporządzenie go zajmie wiele czasu.

— Zaprawdę, przeznaczenie wychodzi nam naprzeciw — rzekł z powagą starzec. — W

Shaulunie, dzień drogi stąd, jest zespół, który co roku tańczy w lwich przebraniach. Postaramy się jedno zdobyć. Co do reszty, masz rację. W czasie ostatniej części uczy będzie wiele okazji, by dostać się do zamku, bowiem Yah Chieng częstuje pospólstwo winem. Wówczas robi się takie

zamieszanie i wrzawa, że strażnicy muszą potem przepędzać pijany tłum kijami. Może tym razem uda się nam wykorzystać te zamieszki.

— Żołnierze uzurpatora będą zaskoczeni widokiem trzeźwych ludzi z mieczami w dłoniach —

stwierdził Conan. — Tak, myślę, że zdołamy zapewnić Yah Chiengowi niezwykle ożywioną

ucznię!

— Nie sądzę — zaprzeczył Leng Chi. — Ilu wojowników możemy zebrać? Yah Chieng ma pod

ręką dwie setki swojej gwardii, prócz regularnego wojska w mieście. Niektórzy z żołnierzy może przejdą na naszą stronę, ale...

— I mamy tylko parę sztuk zbroi — dodał inny z zebranych. — Tymczasem żołdacy

Przekłętę będą osłonięci pancerzami jak raki z jeziora Ho.

Gdy zostały zebrane szczupłe siły, jakie wygnańcy mogli wystawić, zapanowało przygnębienie.

Wtedy przemówił Conan:

— Wcześniej, czcigodny Kangu, mówiłeś coś o pojmanyh przez Yah Chienga zachodnich najemnikach. O co dokładnie chodzi?

— W miesiącu Wieprza z zachodu przemaszerowała kompania złożona z pięćdziesięciu ludzi

— odpowiedział starzec. — Powiedzieli, że służą cesarzowi — jak się zwało to królestwo? Aha, Turan! Ale, oburzeni pogardliwym traktowaniem ich przez cesarskich wodzów porzucili służbę i wyruszyli na wschód, by szukać fortuny w Khitai.

Teraz podjął opowieść Leng Chi.

— Przeszli kilka li na północ stąd, przez wioskę Shaulun. Wyrządzili wieśniakom przysługę,

bowiem rozbili grasującą w okolicy bandę, a sami nie grabili ani nie gwałcili. Dlatego wieśniacy ostrzegli ich przed Yah Chiengiem. Ale oni nie chcieli słuchać i pomaszerowali prosto do

Paikangu. Tam, jak słyszeliśmy, zaproponowali swe miecze Przekłętęmu. On udał zgodę, ale miał

inne zamiary w sercu. Wydał ucztę na ich cześć i w połowie kazał ściąć kapitana, a resztę wtrącił do lochów.

— Dlaczego to zrobił? — zapytał Conan.

— Podobno chciał ich złożyć w ofierze podczas jakichś diabelskich obrzędów.

— I co się z nimi stało?

— Ostatnie pogłoski sprzed trzech miesięcy mówią, że najemnicy nadal czekają na swe przeznaczenie.

— Skąd to wiesz?

— Pewna kobieta z Paikangu, która żyła z gwardzistą z Dwóch Setek Przeklętego, uciekła do Shaulunu i stamtąd wieści dotarły do nas.

— Czcigodny Kangu, opowiedz mi o swoim pałacu. Muszę znaleźć do niego najlepsze wejście.

Kang Hsiu zaczął rysować plan na glinianej podłodze chaty.

— Pamiętaj, że uzurpator mógł wszystko zmienić od czasów, gdy ja tam mieszkałem, ale wtedy było tak; tutaj jest główna brama, tutaj największa sala...

Parę godzin później plany były opracowane do ostatniego szczegółu. Kang Hsiu wstał i wzniosł wysoko swój kubek.

— Za przyszłość i honor wielkiego Paikangu — zawołał dźwięcznym głosem. — I oby głowa Węża została wkrótce zmiażdżona pod butem Mściciela!

W odpowiedzi wzniesiono gromki okrzyk, a Conan spełnił toast wraz z innymi.

Cymmerianinowi zakręciło się w głowie, gdy uświadomił sobie, że jego cel jest zaledwie w zasięgu ręki.

Kurz kłębił się szarymi chmurami nad drogą, która biegła na zachód od Paikangu. Setki Khitajczyków w błękitnych i brązowych kubrakach ciągnęły grupkami do miasta. Słońce połyskiwało na masywnych marmurowych murach. Wody fosy odbijały białe ściany, brązowe

wzgórza i błękitne niebo z wyjątkiem miejsc, gdzie pływające kaczkę mąciły powierzchnię. Ponad murami wznosiły się pagody, których spadziste dachy lśniły zielonymi, niebieskimi i purpurowymi dachówkami. Słońce przeglądało się w złoconych ozdobach. Złote smoki i lwy pyszniły się na płaskorzeźbach otaczających wielką bramę.

Zakurzony sznur wieśniaków sunął do bramy, na pieszo i na osłach. Żołnierze Yah Chienga wsparci na pałkach i trójzębach obserwowali tłum, tym razem nie zatrzymując nikogo na przepytanie, przeszukanie lub dla wymuszenia łapówki. Od czasu do czasu w szarej od kurzu kolumnie rozbłyskiwały jaskrawe kostiumy aktorów. Lwi tancerze z Shaulunu wykonali szczególnie wspaniałą strój. Złocona maska mocno błyszczała w słońcu, zwracając swe wytrzeszczone oczy i kręty jęzor to w tę, to w inną stronę. Człowiek noszący ten kostium musiał być niezwyklej postury, gdyż lwi łeb wznosił się wysoko ponad głowami Khitajczyków.

Przekroczywszy bramę wieśniacy ruszyli szeroką aleją w kierunku pałacu. Conan, wyglądając przez dziury w lwiej masce, wdychał ostre zapachy khitajskiego miasta, chłonał jego barwy i dźwięki. Odgłosy zdawały się tworzyć pozbawiony znaczenia harmider, chociaż każdy róg, gwizd i grzechot był przypisany handlarzowi innego towaru. Podążając z tłumem, Cymmerianin dotarł do kolejnego muru z wielką, stojącą otworem bramą. Ludzka rzeka wpłynęła do środka omywając dwa rzeźbione w nefrycie smoki, wysokie na pięć łokci. Przybysze znaleźli się na dziedzińcu pałacu Yah Chienga, byłej siedziby rodu Kang.

Przepychnięte się, rozkrzyczane masy napierały na stoły, gdzie słudzy Yah Chienga podawali ryż i ryżowe wino. Wielu gości już było podchmielonych i śpiewne rozmowy wzniosły się do wrzasku. Tutaj zongler podrzucał kule i topory, tam grajek szarpał jedną strunę lutni i śpiewał żalosne pieśni, chociaż mogli go słyszeć tylko ci, którzy znajdowali się w odległości nie większej, niż dwa kroki.

Conan usłyszał przy uchu głos Leng Chi:

— Tędy. Taniec wkrótce się zacznie. Ale nie staraj się zdobyć nagrody. Nie pomogłoby naszym planom, gdyby sędzia kazał ci zdjąć maskę...

W długim kamiennym korytarzu panowała ciemność i cisza. Conan szedł jak drapieżnik przez dżunglę, nie czyniąc żadnego dźwięku. W ręku trzymał obnażony miecz. Na sobie miał khitański kaftan i jedwabne spodnie, uszyte w wiosce wygnańców.

Wszystko przebiegło tak, jak zaplanował. W czasie zamieszania na dziedzińcu i w słabym świetle pochodni nikt nie zauważył, zniknięcia jednego lwiego tancerza. Teraz Conan znajdował się w drodze do serca warowni wroga.

Zmysły Cymmerianina były wyostrzone do granic możliwości. Nie po raz pierwszy wchodził do siedziby czarnoksiężnika. Wspomnienia upiornych potworów, na które natykał się przy wielu podobnych okazjach atakowały jego umysł jak rozszalałe demony. Przez całe życie świat nadnaturalny był jedyną rzeczą, która napawała go strachem. Ale z żelaznym opanowaniem otrząsnął się z tych pierwotnych obaw i szedł dalej.

Korytarz rozdawał się. Jedne schody wiodły w górę, drugie w dół niknąc we wszechobecnej ciemności. Conan wybrał te prowadzące w dół. Doskonale pamiętał plan zamku...

Yo La-gu, gwardzista Yah Chienga, siedział niedbale na ławie w lochu pod cytadelą Paikangu.

Był rozdrażniony. Dlaczego on ze wszystkich ludzi miał tu siedzieć i pilnować tych zachodnich niedołęgów, podczas gdy na zewnątrz trwała uczta, wino lało się strumieniami, a chętne dziewczynki oferowały za darmo swe usługi? Co za pomysł — trzymać ludzi w więzieniu przez lata,

przygotowując ich do użycia w jakimś magicznym rytuale, kiedy jeden najazd na pierwszą lepszą wieś mógłby dostarczyć tyle samo Khitajczyków w ciągu kilku dni! Mamrocząc pod nosem,

żołnierz wstał z trzeszczącego siedziska, by przynieść sobie wina.

Jego zbroja zadźwięczała w ciszy. Dotarł do niszy w murze, gdzie trzymał swe butelki i wyciągnął ku nim rękę.

Był to jego ostatni gest w życiu. Dziesięć żelaznych palców gwałtownie zacisnęło się na jego gardle, miażdżąc tchawicę. Za moment czarna nieświadomość ogarnęła umysł gwardzisty, który

osunął się na ziemię.

Conan z ponurym uśmiechem popatrzył na swoje dzieło. Jak dobrze znów zabijać wrogów!

Barbarzyńska krew zawrzała w żyłach, a usta wykrzywiły się w wilczym uśmiechu.

Mord został dokonany tak szybko i bezgłośnie, że nie przebudził się żaden ze śpiących w lochach więźniów. Conan pochylił się i od pasa martwego dozorczy oderwał pęk kluczy.

Wypróbował kilka z nich w zamku najbliższej celi.

Słyszając zgrzyt leżący przy kracie więzień odwrócił się, potrząsnął głową i otworzył oczy.

Przekleństwo na jego ustach zamarło na widok dziwnej postaci. Zdumienie wzrosło, gdy krata otworzyła się do środka.

W jednej chwili zerwał się na nogi. Znieruchomiał, gdyż światło pochodni załśniło lekko na ostrzu w ręku nieznanego. Olbrzym ruchem dłoni kazał mu zachować ciszę i podejść.

W jaśniejszym świetle oczy więźnia rozszerzyły się ze zdziwienia. Conan zmarszczył brwi, szukając czegoś w pamięci. Wreszcie rzekł:

— Lyco z Khorshemish! To ty?

— Tak — ich krzepkie prawice spotkały się w silnym uścisku. — Na piersi Ishtar, Conanie ja chyba śnię! Czy przybyłeś tu z armią Aquilończyków, by rozprawić się z piekielnym czarnoksiężnikiem, czy może przyleciałeś na grzbiecie orła?

— Ani jedno, ani drugie, Lyco — padła burkliwa odpowiedź. — Jestem tutaj, aby wymierzyć sprawiedliwość temu złotemu wieprzowi, ale sądzę, że znalazłem swoją armię w tych lochach. Kiedy walczyliśmy jako najemnicy, ty byłeś wśród najlepszych.

— Większość więźniów to dzielni mężczyźni i wojownicy. Od dawna marzymy o tym, by rozgrzać stal w sercach tych khitajskich łajdaków.

— Będziecie mieli okazję. Oto klucze do lochów, weź je i uwolnij ludzi. Broń jest w komnacie straży. Uzbrojcie się i uderzajcie! Walczcie, by pomścić własne cierpienia i wrócić wolność królowej Aquilonii! — powiedziawszy to Cymmerianin zniknął z powrotem jak zjawa.

Lyco zaczął budzić kamratów, a potem posłał paru do zbrojowni, podczas gdy pozostali zajęli się otwieraniem reszty cel.

— — Na Mitrę! — parsknął Lyco. — Ten barbarzyńca jest szalony! Przebyć taki kawał świata,

by ratować kobietę! — Mimo tych słów w jego oczach błyszczał podziw, gdy patrzył w mroczną gardziel korytarza.

## WAROWNIA CZARNOKSIĘŻNIKA

Na końcu ciemnego, wilgotnego korytarza otwierała się rozległa, wysoka sala. Kamienie posadzki pokrywał kurz nie naruszony przez ludzkie stopy, ale w panującej w niej ciszy było coś złowieszczonego. Strop sali ginął w ciemności. Conan kierując się ku wylotowi kolejnego korytarza, szedł ostrożnie, bacząc by któraś z płyt posadzki nie zapadła się pod jego stopami.

Nagle od ścian odbił się echem głos potężny niczym huk gromu. Przeszywające zawrozczenie ścięło Conanowi krew w żyłach. Z ciemności pod sklepieniem ze świstem potężnych skrzydeł wyłoniła się nieziemska istota i rzuciła na Conana jak pikujący jastrząb.

Barbarzyńca uskokzył, o włos rozmiijając się z ostrymi jak brzytwa szponami. Potem jego miecz zatoczył połyskliwy łuk. Uskrzydłona poczwara odfrunęła skowycząc. Z jednej łapy, odrąbanej przy kolanie, tryskała ciemna, cuchnąca posoka. Mimo to straszycło z ogłuszającym wrzaskiem ponownie skoczyło na Cymmerianina.

Conan nie cofnął się. Wiedział, że musi zadać jeden pewny cios we wrażliwe wnętrzości stworu. Nawet poraniona bestia, miała dość siły, by rozedrzeć go na strzępy. Conan nie wątpił, że to ten stwór porwał Zenobię cztery miesiące temu.

Straszycło rozpostarło skrzydła i zaatakowało. Cymmerianin lekko umknął pazurom pozostałej kończyny i całą siłę włożył w mordercze pchnięcie. Ostrze wbiło się w czarne cielsko, gdy szpony rozdzierały mu kaftan na plecach. Potwór zacharczał okropnie i upadł. Conan zaparł się nogami o kamienne płyty i wyciągnął ociekające czarną posoką ostrze.

Włosy miał splątane i zlepione potem, a z ran na plecach popłynęła krew. Ale już po kilku krokach w stronę wylotu drugiego korytarza, w oczach Cymmerianina płonął dawny ogień. Za nim, na podłodze sali w kałuży smolistej krwi leżał potwór, wlepiający niewidzące oczy w ciemność, z której pochodził.

Ten korytarz był krótki i prosty. Na końcu Conan zobaczył kamienne drzwi. Ich powierzchnię pokrywały tajemnicze znaki khitajskiego pisma. Musiał to być sławny Tunel Śmierci, wiodący do prywatnych komnat Yah Chienga. Za tymi drzwiami Conan spodziewał się znaleźć swego wroga.

Uniósł miecz, a dłoń zacisnęła się mocno na rękojeści.

Nagle ciemność ustąpiła jaskrawemu światłu. Z podłogi strzeliły w górę czerwone, wijące płomienie. Ich kręte jęzory sięgnęły sklepienia i żarłocznie rzuciły się na Conana. Cymmerianin poczuł straszliwy żar na twarzy, a jego ubranie zaczęło się tlić. Pot spłynął mu po twarzy. Gdy wycierał czoło grzbietem ręki, kawałek metalu zadrapał mu skórę.

Pierścień Rakhamona! Jak zwykle zapomniał o tej niegodnej wojownika broni!

Przesunął ręką przed płomieniami. W korytarzu rozbrzmiał głośny brzęk, jak uderzenie w tysiące cymbałów. Jęzory ognia z łoskotem osypały się na posadzkę niczym potłuczone szkło.

Reszta płomieni przypadła do podłogi i stężała. Conan pokonał skamieniały ogień jednym potężnym skokiem i dopadł pokrytych znakami drzwi. Nie chciały ustąpić pod naciskiem jego dłoni. Przepełniony ogromną pewnością siebie, wznosił rękę uzbrojoną w pierścień mocy.

Zimny kamienny ołtarz chłodził rozpalone ciało Zenobii. Jej ręce daremnie szarpały żelazne kajdany. Również stopy miała skute i przymocowane do pierścienia w posadzce. Wspaniałe ciało królowej leżało rozpostarte na płaskim kamieniu. W pobliżu jej oprawca robił coś przy długim, ciemnym stole, zarzuconym nieznanymi przyrządami, flakonami, szkatułami i zwojami pleśniącego pergaminu. Jego rzadka broda wystawała spod kaptura jak biały jęzor.

Sklepienie wielkiego pomieszczenia wznosiło się tak wysoko, że Zenobia nie sięgała do niego wzrokiem. Chciała szlochać z rozpaczy, ale jej stalowa wola, która nie pozwoliła królowej załamać się w ciągu długich miesięcy niewoli, wciąż trzymała emocje na wodzy.

Myślała o Conanie, swym małżonku i serce pękało jej z tęsknoty i smutku. Yah Chieng powiedział niegdyś, że Conan samotnie ruszył jej na ratunek. Nie miała pojęcia, z pomocą jakiej magii czarnoksiężnik zdobył tę wiedzę. Do tego czasu jej umiłowany Conan musiał już leżeć martwy gdzieś na turańskim stepie lub może został zabity przez dzikich mieszkańców Gór

Himeliańskich. Wielu potężnych ludzi, których miał napotkać po drodze, nie miało powodów, by darzyć go miłością.

Dziś o północy, pachołkowie złotego czarnoksiężnika przyszli do celi Zenobi i przywlekli ją do tej komnaty. Tu przykuli ją do tego okropnego ołtarza. Od tej pory była sama z khitajskim czarnoksiężnikiem. On jednakże nie zwracał na nią uwagi i krzątał się dokoła, wciąż mamrocząc



zaklęcia. Zenobia miała aż nadto czasu na rozmyślania o czekającym ją upiornym przeznaczeniu.

Teraz Yah Chieng zbliżył się niczym samo zło, z twarzą napiętą w oczekiwaniu. Z osobliwie wygiętego ostrza w jego dłoni wydobywało się światło. Na klindze były wyryte mroczne i tajemnicze symbole.

Zrozpaczona Zenobia poleciała Mitrze swą duszę. Ciężkie, kamienne drzwi komnaty rozwarły się z hukiem i runęły na podłogę siejąc okruchami strzaskanego porfiru. Kurz wzniósł się z posadzki jak burzowa chmura.

W otworze stanął wysoki, krzepki olbrzym z prosto przyciętą grzywą czarnych włosów. Jego błękitne oczy płonęły królewskim gniewem. W jego dłoni połyskiwała stal.

Serce Zenobii nieomal wyrwało się z piersi. Przybył! Jej bohater! Conan!

Cymmerianin w milczeniu, z okropną zaciekłością rzucił się na złotego nekromantę. Widok ciała Zenobi, przygotowanego do złożenia w ofierze, jasno dowodził, że pojawił się dosłownie w ostatniej chwili. Nagle, na jego oczach Zenobia wstała z ołtarza, wolna od kajdan. I ułamek sekundy później nie była to już ona, lecz olbrzymi tygrys. Głuchy warkot zagrzmiął w komnacie, gdy zwierz rzucił się na Conana z wystawionymi pazurami i wyszczerzonymi kłami. Gdy Conan wzniósł ostrze, aby odrąbać mu łeb, tygrys przemienił się w zbutwiały szkielet w ciemnozielonej szacie z kapturem. Koścista ręka z oszałamiającą siłą zacisnęła się na nadgarstku Conana.

Cymmerianin warknął dziko i wyrwał sztylet z fałd zielonej szaty, by rękojęścią rozbić wyszczerzoną czaszkę na tysiące kawałków. Wtedy poczuł żar na środkowym palcu, zupełnie jakby ogarnęły go płomienie. Magiczny pierścień zajaśniał nieziemską błękitną poświatą, która przeniknęła aż do szpiku wybuchając w mózgu barbarzyńcy. Cymmerianin zdarł skwierczący pierścień z palca i cisnął go na ziemię. Wtedy z ust Yah Chienga wydobył się rechot pełen

złośliwej radości. Khitajski czarnoksiężnik stanął z ramionami rozpostartymi nad głową. Jego pomarszczone usta wymamrotały coś i pochodnie przygasły w ściennych obejmach. Conan

ostrożnie poruszył głową dochodząc do siebie po ataku bólu. Apatycznie patrzył, jak z podłogi wokół niego unosi się błękitna mgła. Wznosiła się z dręczącą powolnością, spowijając go zimnymi kłębami. Kiedy rozjaśniło mu się w głowie, był już cały otulony całunem mgły. Spróbował się

poruszyć, lecz przypominało to pływanie w zimnym miodzie. Z ledwością udało mu się oderwać

stopę od podłogi. Oddech wyrywał się z jego płuc w krótkich, rozdzierających spazmach, a pot zalał oczy.

Mgła pociemniała nieco. Teraz w ruchliwych, błękitnych pasmach pojawiły się wizje. Conan ujrzał przyjaciół z dawnych czasów i piękne kobiety, rycerzy na koniach i królów w pozłacanych zbrojach. Potem postacie przemieniły się w dawnych wrogów, a ci z kolei w bardziej przerażające kształty. Wszystkie potwory, od wieków budzące grozę, wirowały w nie kończącym się szeregu przed oczami Cymmerianina i zbliżały się coraz bardziej. Wyciągnięte łapy sięgały do jego gardła, płonące ślepia próbowały wyssać z niego duszę i skazać ją na wieczyste potępienie.

Ogarnęło go niewyobrażalne przerażenie. Jego mięśnie nabrzmiały w nadludzkim wysiłku, ale moc mgły okazała się większa. Szarpiąc za jego umysł, targając wewnętrzną istotę jego świadomości, stawała się nie do zniesienia. Conana przytłoczyło poczucie nieuchronnej porażki. Ciemność i zło miały zatriumfować pomimo wszystkich jego starań. Dusza Cymmerianina miała się płaszczyć w kręgach piekła przez całą czarną wieczność.

Poczuł, jak opuszczają go resztki świadomości i wtedy zobaczył nakładający się na wyszczerzone i zaślinione monstra ciemności, obraz wielkiej sali. Ogromne kłody tworzyły jej ściany, w górze krokwie były grube jak czterech mężczyzn, a mrok jeszcze je poszerzał. Ciemni i ponurzy ludzie z potężnymi mieczami w dłoniach stali wokół tronu, na którym siedział czarnowłosy bóg, wysoki i posępny, z czarnymi oczami osadzonymi w surowej, bezlitosnej twarzy. I głos boga dotarł do umysłu Conana:

— Człowieku z Cymmeri ! Tyś jest synem Cromy, a on nie pozwoli, byś cierpiał wieczne potępienie! Zawsze byłeś mu wierny i czarne moce Wschodu nie będą władać twoją duszą!

Ciemne oczy boga zapłonęły. Crom wyciągnął potężną dłoń i wystrzeliła z niej oślepiająca błyskawica. Conan poczuł, że dawna siła wraca w jego członki. Błękitna mgła odpłynęła. Demony odstąpiły, skamłając ze strachu, a król Aquilonii ruszył majestatycznie do przodu. Strach zwęził oczy Yah Chienga. Czarnoksiężnik zacisnął palce na ofiarnym nożu i wznosił go nad głowę. Zenobia zobaczyła opadające ostrze i równocześnie na Przeklętego runęła potężna postać. Obaj potoczyli się po posadzce w wirze kończyn i powiewających szat.

To Conan tygrysim skokiem przesadził ołtarz. Bezlitosny szept barbarzyńcy był zimny jak lód:

— Wreszcie się spotkaliśmy, żółty psie! Twoje plugawe dni zostały policzone. Bogowie skazali cię, a twoje ciemne moce przepadły!

Gdy Conan zacieśnił śmiertelny uścisk, Yah Chieng zaczął bełkotać z przerażenia.

— Czy słyszysz krzyki i szczęk broni? — ciągnął lodowaty głos Cymmerianina. — Czy widzisz pożary? Więźniowie uwolnieni z twoich lochów wraz z ludem Paikangu wyrzynają twoich żołdaków! Twe krwawe władztwo obraca się w ruinę. Poślę cię do najczarniejszego piekła, i będziesz tam gnić na wieki! Muskuły Conana nabrzmiały w żądry zemsty. Rozległ się suchy trzask i zadyszany Cymmerianin powstał znad bezwładnego ciała.

Kaftan miał popalony i podarty, plecy poranione, brwi spalone, lecz pewnie podszedł do ołtarza i zdobył się na jeszcze jeden potężny wysiłek. Łącuchy wiążące kobietę zadzwoniły bezsilnie na kamieniach posadzki.

Gdy do komnaty wpadła zwycięska czereda z rykiem radości na ustach, Conan obejmował swą umiłowaną królową z całym żarem zakochanego mężczyzny.

I tej nocy po raz trzeci w życiu Conan złożył ofiarę Cromowi — mrocznemu bogu czarnowłosej cymmeriańskiej rasy.

# EPILOG

Dwaj jeźdźcy przemierzali bezkresny, porośnięty suchą trawą step rozciągający się u podnóża Gór Karpash. Jednym był olbrzym w kolczudze i stalowym hełmie, z długim, prostym mieczem u boku. Drugim była smukła, piękna kobieta w jeździeckim stroju nomadki Wschodu, z krótkim, khitajskim łukiem w ręku. Za nimi, w poszerzających się kałużach czerwieni, leżały dwie nieruchome postacie w zakurzonych, spiczastych hełmach i jaskrawych turbanach. Niknąca na wschodzie chmura pyłu mówiła o szaleńczej ucieczce trzeciego.

— Zwiadowcy z turańskiego oddziału, Zenobio — mruknął olbrzym w kolczudze. — Pech, że natknęli się na nas. Konie mamy zdrożone i czeka nas wiele mil drogi, by dotrzeć do bezpiecznych okolic. Źle, że jeden z nich uciekł.

— Nie zwlekajmy tedy — odparła czystym głosem kobieta. — Musimy jechać na zachód, tak daleko, jak zdołamy.

Conan wzruszył szerokimi ramionami i uderzył wierzchowca piętami. Krótki odpoczynek odświeżył zwierzęta, które raźniej pogalopowały w kierunku zachodniego horyzontu. Tam wznosiły się góry, ledwo widoczne mimo czystego powietrza i płonącego słońca.

— Nie znasz Turańczyków — warknął Conan. — Są jak stado polujących psów. Nigdy nie rezygnują, chyba że wytnie się całą watahę.

— Ale może ich główne siły są daleko. Może zdążymy dotrzeć do lasów.

— Wątpię. Turańscy zwiadowcy nigdy nie tracą kontaktu z głównym oddziałem. Poznałem ich sztuczki, gdy z nimi służyłem. Jadą kolumną przez step, a kiedy złapią trop, formują szereg i szarżują rozwijając skrzydła do przodu i chwytają swą ofiarę w kleszcze. Przeklęte moje szczęście!

Przebyliśmy bez przygód taki szmat świata, a teraz zostaniemy złapani prawie na naszym progu!

Konie zaczęły słabnąć. Conan szarpnął wędzidło, unosząc w górę głowę rumaka. Potem ocieniając oczy popatrzył na zachód.

Tuman kurzu wzbijał się nad horyzontem. Od czasu do czasu migwały w nim błyski metalu, a

ziemia drżała pod kopytami koni. Conan zacisnął zęby i wyciągnął miecz z pochwy. Na jego ustach zaigrał dumny uśmiech, a Zenobia spojrzała na męża z miłością i oddaniem. Jeżeli taka była wola bogów, Conan podda się jej z pokorą, ale przedtem nie omieszką wydać walki, która zawstydzi wielu legendarnych bohaterów. W jego błękitnych oczach zapłonęła żądza mordy, a palce zacisnęły na rękojeści miecza ze straszliwą siłą.

Chmura pyłu zbliżała się z każdym uderzeniem ich serc. Widzieli już długą linię jeźdźców, rozciągającą się daleko na prawo i lewo. W środku jechała olbrzymia postać w złocie i szkarłacie, a obok mniejsza w jedwabnych szatach. Na widok tej drugiej Conan zeszywniał w siodle i wyteżył orle oczy. Spomiędzy jego zaciśniętych zębów wyrwało się wściekłe przekleństwo.

Zenobia nałożyła strzałę i napięła łuk. Obrzuciła króla pytającym spojrzeniem.

— Ta diaboliczna Thanara! — warknął król. — Nasz przyjaciel o skrzydłach nietoperza wyratował ją z rąk piratów i teraz wróciła, by znów mnie dopaść!

Jeźdźcy byli już na tyle blisko, że królewscy małżonkowie usłyszeli długi wojenny okrzyk.

Groty włóczy zniżyły się, tworząc migocącą falę. Conan naprężył mięśnie i przygotował się na spotkanie z wrogiem.

Wtem cwałujące konie zwolniły i symetria szyku została załamana. Conan stanął w siodle, by zobaczyć, co spowodowało tę nagłą zmianę.

Słońce błyszczało oślepiająco na polerowanych zbrojach, opuszczonych przyłbicach, zniżonych kopiach i wzniesionych mieczach. W pełnym galopie cztery setki hyboryjskich rycerzy pędziło w kierunku Turańczyków, a na szpicu stalowego klina łopotał sztandar Aquiloni.

Aquilońska konnica nadjechała z boku i uderzyła na skłębione turańskie wojsko z miażdżącą siłą pioruna. Dziesiątki koni i jeźdźców runęły na ziemię. Rycerze Aquilonii zaczęli szaleć wśród zaskoczonych wrogów niczym tygrysy. Conan, ogarnięty bitewną gorączką pognął na spotkanie walczących. Wkrótce jego miecz spadł na hełm wysokiego turańskiego żołnierza i zmiotł go z siodła. Król Aquiloni błyskawicznie zostawił swego wyczerpanego wierzchowca i skoczył na siodło turańskiego. Skierował go prosto w największe zamieszanie.

Rąbał w bok celującego do niego łucznika, rzucając go pod kopyta konia jak szmacianą lalkę.

Potem zaatakował emira.

— Spotkaliśmy się znowu, barbarzyński psie! — krzyknął wysoki jeździec w czerwieni i złocie.

— Twoja głowa zawisnie na murze zamku szlachtetnej Thanary!

— Widzę, żeś wrócił do zdrowia po ostatnim ciosie w głowę — ryknął Cymmerianin. — Ale daleko ci jeszcze, by odzyskać rozum. Pasujesz do tej zdradliwej ladacznicy. Gnij w piekle!

Lśniący brzeszczot zawirował w morderczym młynku. Za moment Ardashir popełnił błąd.

Ciężka stal przeniknęła kolczugę, ciało i kości, i turański oficer runął na ziemię, prawie przecięty na dwoje.

Conan zatrzymał się i rozejrzał. Step był usłany trupami w spiczastych hełmach i workowatych szarawarach. Chociaż Aquilończycy też ponieśli spore straty, z walki wypadła już większość

żołnierzy Turanu. Grupki zachodniego rycerstwa ciągnęły teraz do centrum pola bitwy, gdzie trwał jeszcze jakiś opór. Pozostali przy życiu Turańczycy rychło zaczęli rzucać broń i błagać o łaskę.

Jedynie nielicznym udało się wyrwać z opresji i teraz byli szybko malejącymi punkcikami na horyzoncie. Conan uśmiechnął się ponuro i rozejrzał w poszukiwaniu Zenobii.

Uratował go błyskawiczny refleks. Strzała przemknęła ze świstem o cal od jego piersi. W

ostatniej chwili Conan zdążył kątem oka dostrzec złowieszczy ruch napinanego łuku i szarpnął się do tyłu. Stojąca trzydzieści kroków dalej, wykrzywiona z wściekłości Thanara założyła kolejną strzałę. Napięła łuk i wtedy grot przeszył jej piersi. Kobieta bezwładnie osunęła się z siodła.

Zenobia ściągnęła wodze, zatrzymując się obok Conana i ponuro przyjrzała się rezultatom swego strzeleckiego kunsztu.

— Żaden mężczyzna nigdy nie miał lepszej żony i żaden król lepszej królowej! — zagrzmiął

Conan, podnosząc ją z siodła i przesadzając na własnego wierzchowca.

Walka dobiegła końca. Dwaj rycerze w okrytych kurzem zbrojach podjechali do Conana, podnieśli przyłbice i skłonili się.

— Prospero! Trocero! — prawica Conana grzmotnęła kolejno w okryte stałą ramiona. —

Przybyliście w samą porę. Mało brakowało, a te psy sprawiłyby nam gorącą łaźnię. Jak do tego doszło? Z ledwością wierzę własnym oczom!

— Pelias nas pokierował — odpowiedział Prospero. — Od twego wyjazdu często go odwiedzałem. Za pomocą tajemnych sił dowiedział się o twoim powodzeniu i powrocie. Przewidział, że zostaniesz zaatakowany na granicy Zamory, więc wyruszyliśmy, aby temu zapobiec. Zgubiliśmy się wprawdzie w Górach Korynckich, lecz szczęśliwie zdążyliśmy na czas.

— A jak tam nasze królestwo, Trocero?

— Panie, lud z utęsknieniem wygląda twego powrotu. Gdy wyjeżdżaliśmy z Tarancji, żegnały nas takie błogosławieństwa, o jakich Poitainczyk może tylko marzyć. Żyjemy w pokoju, nikt nie śmiał pogwałcić naszych granic. Zbiory są udane, kraj nigdy nie cieszył się takim dostatkiem.

Brakowało nam tylko naszego króla i królowej, by przepełniła się czara fortuny i szczęścia.

— Dobrze powiedziane, przyjacielu! — stwierdził Conan. — Ale któż tu idzie? Niech mnie diabli, jeśli to nie Pelias!

Faktycznie był to czarnoksiężnik, wysoki, chudy i białowłosy, w powiewających granatowych szatach.

— Witamy, królu Conanie — rzekł z uśmiechem na ustach. — Księżyc wiele razy przemienił się od czasu narady w mojej wieży. Uwolniłeś świat od demona i czekają nas szczęśliwsze dni.

— Winienem ci podziękowania, Peliasie, za odsiecz, która przybyła w samą porę, i za pożyczenie tej błyskotki — Conan wyjął z sakiewki pierścień Rakhamona. — Mogę go już zwrócić. Przysłużył mi się dobrze parę razy, ale sądzę, iż nigdy więcej nie będzie mi potrzebny. Po raz ostatni omiół wzrokiem pobojuwisko. Potem zawrócił konia i na czele swych rycerzy ruszył na zachód. Po chwili namysłu mruknął do jadącego obok Prospera:

— Niech to lichy! Od tego gadania gardło mam suche jak podłoga piekła! Nie masz przypadkiem wina w bukłaku u siodła?